POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 25-go stycznia 1941r.** **Rok III. Nr. 4**

POGOTOWIE DUCHOWE

Zadania każdego Polaka w dzisiejszej wojnie psychologicznej są bardzo poważne i dlatego też każdy odpowiednio poważnie powinien tę sprawę pojmować.

Przyjrzyjmy się pokrótce sytuacji w wojnie psychologicznej. Dotychczas zwycięskie Niemcy hitlerowskie minęły punkt szczytowy swoich możliwości materialnych i duchowych. Niemcy jednak, jako całość, psychicznie nie były jeszcze zupełnie do wojny przygotowane. Wysoką temperaturę uczuć utrzymywała umiejętnie prowadzona propaganda, następnie łatwe zwycięstwa, jeszcze przed najazdem na Polskę.

Dopiero starcie się we wrześniu z Polską osłabiło trochę tę wysoką temperaturę psychiczną. Po zwycięstwie w walce z Polską, zwycięstwie jedynie w dziedzinie materialnej, krzywa nastrojów w Niemczech wahała się szczególnie w chwili uderzenia na Norwegię i pierwotnego sparaliżowania planów i zamiarów Hitlera przez flotę morską Wielkiej Brytanii. Podniosła się ogromnie po kapitulacji Francji, lecz obecnie znowu opadła po stanowczym oporze Anglii.

Przywódcy partii hitlerowskiej doskonale orientują się w małej odporności psychicznej Niemców i dlatego też można obserwować wahanie Niemiec w wyborze kierunku uderzenia, jak i co do samego uderzenia. Staranne przygotowanie techniczne i bogate środki gromadzone do każdego uderzenia są robione również z uwagi właśnie na słabą stronę Niemiec w dziedzinie psychicznej.

Przywódcy Niemiec dzisiejszych wiedzą, że długa wojna dla Niemiec, to wojna przegrana, nie tyle z uwagi na brak środków technicznych i brak floty morskiej, ile z uwagi na brak konsolidacji w dziedzinie moralnej.

Motyw propagandy wewnętrznej: "Niemiec — nadczłowiek, stworzony jest na pana, stworzony do rządzenia," może się podobać i pochlebiać każdemu Niemcowi, lecz siły ducha i potrzebnej odporności przez to jeszcze nie daje. Odwrotnie przy najdrobniejszych niepowodzeniach stwarza stan niebezpieczny, bo niewiarę, z kolei załamanie się psychiczne, tym większe, im większa była pewność powodzenia.

Wola walki i wola zwycięstwa oparte są w Niemczech na bardzo niepewnych i kruchych podstawach, spoczywają na pysze, co nie jest równoznaczne z dumą, właściwym źródłem siły duchowej.

Widzimy też stałe dążenie Niemiec do zawarcia pokoju, więc po rozbiciu Polski, przy pomocy zresztą bolszewików, następnie po rozbiciu Francji, jak również i obecnie cicho robione starania. Pyszne i butne Niemcy chcą podbić świat i gdyby ich olbrzymim możliwościom technicznym odpowiadała odpowiednia siła ducha, już może wygrały by wojnę! Zapewne nie wahałyby się i nie zabiegały tak skrzętnie i stale o pokój.

Siłę ducha zastępują Niemcy żelazną dyscypliną wymuszaną terrorem i strachem, co jest o wiele niedostateczne do podboju świata, a środków materialnych przy tym stanie rzeczy do takiego przedsięwzięcia mają też za mało. Niemcy tę wojnę przegrają. Załamanie psychiczne w Niemczech będziemy obserwować większe, niż to obserwowaliśmy u innych narodów, przez nich podbitych w sposób podstępny.

Rosja bolszewicka bacznie i przebiegle śledzi wypadki w Europie. Liczy, że będąc zorganizowana i przygotowana, zdoła narzucić swą wolę zmęczonym i wyczerpanym wojną narodom Europy. Bolszewicy zapominają, że ich rządy oparte są na bagnetach. Gdy bagnety krasnoarmiejców pochylą się do ataku na podbój Europy—czerwonym dyktatorom zabraknie oparcia i Rosja runie w ponowną otchłań krwi, w której rządy bolszewickie utoną.

Wojna dzisiejsza wyczerpie zupełnie narody w Europie nie tylko materialnie, lecz wyczerpie również i w dziedzinie duchowej. Przeciętny obywatel państw europejskich stracił zupełnie zaufanie do przywódców partyjnych, stracił zaufanie i wiarę do wszelkich głoszonych programów, haseł politycznych i patetycznych, i nieszczerych komunałów o ideałach. Za rok, może za dwa, będzie w Europie kompletny chaos.

Na tym szarym i bezbarwnym tle, na tle załamania i niemocy psychicznej wielu narodów Europy—jakże wyraźnie rysuje się moc psychiczna i bohaterski duch Polaków. Mocny duch Polski jedynie może być ostoją śród niedalekiego chaosu Europejskiego.

Silnemu duchowi Polski brak jednak będzie środków materialnych do dopomożenia kształtowania porządku przedewszystkim w Europie Środkowej, a pośrednio w Europie Wschodniej i Zachodniej. Zwycięska Anglia sama nie zdoła zaprowadzić ładu w Europie. Konieczne jest i całkiem naturalne oparcie się Jej w tej pracy o Polskę.

Wypadki wojny potoczą się dalej, na to na razie dużego wpływu nie mamy, nie rozporządzając środkami dostatecznie wielkimi. Polska dała bardzo wielki wkład w wojnę dzisiejszą i w dalszym ciągu składa znaczne ofiary i daje duży wkład swego heroicznego ducha. Rola jednak Polski będzie ważna i zasadnicza u schyłku wojny.

Tak oto w ogólnych zarysach przedstawia się stan wojny dzisiejszej na polu psychologicznym, Polska jest tu zwycięską. Ze stanu tego wypływają i obowiązki każdego Polaka, przede wszystkim na terenie Anglii.

Zwycięstwo w tej wojnie nie będzie łatwe, ale im trudniejsze—tym będzie pełniejsze. Poniesione i ponoszone w dalszym ciągu ofiary Polaków w tej wojnie nie mogą iść na marne. Krew przelana najlepszych synów Polski, poniesione wspólne trudy i ofiary winny złączyć wszystkich w jeden wielki i potężny blok duchowy, w jeden związek uczuć i myśli.

Obowiązkiem zatym każdego i wszystkich Polaków i obywateli Polski jest:

1. *Łączyć się i konsolidować wokół naszego Rządu i osoby Generała Sikorskiego, a przez to oddziaływać na Polaków w kraju i w ten sposób dodawać im otuchy, pomagać w przetrwaniu losu o tyle cięższego, niż nasz.*

2. *Wierzyć we własne siły i wiedzieć, że sami będziemy musieli zaprowadzić ład i ustabilizować życie w Europie Środkowej i że nas na to stać, i że jest to naszym nie tylko prawem lecz i ciężkim obowiązkiem.*

3. *Nastawiać się do tej wytężonej pracy winniśmy sami, nastawiać w tym kierunku wszystkich Polaków będących na emigracji nawet stałej, nastawiać naszą młodzież.*

4. *Nawiązywać, każdy według swoich możliwości, jak najlepsze kontakty ze społeczeństwem angielskim, z jego elitą ze sferami naukowymi, przemysłowymi, finansjery i t.p.*

5. *Propagować i stosować harmonijną współpracę wszystkich na każdym stanowisku, szczeblu służbowym, czy społecznym.*

6. *Podnosić godność własną każdego.*

7. *Wciągać każdą jednostkę do pracy na rzecz państwa.*

8. *Uświadamiać wszystkich Polaków i obywateli Polski, że szukanie tanich rozgrywek osobistych, partyjnych, czy też innych, zwłaszcza za pomocą haseł demagogicznych, nie służy interesom własnym, ani Polski, jak i wszystkich Jej obywateli, służy jedynie interesom obcym.*

9. *Być godnym tych, co walczą w powietrzu, na morzu i na ziemi i tych wszystkich co rzetelnie pracują.*

10. *Prowadzić dobrą propagandę polskości śród swego otoczenia, zdobywać bezinteresownych przyjaciół i samemu takim być. Prowadzić propagandę polskości nie tylko słowem, lecz przede wszystkiem własnym zachowaniem, postępowaniem.*

11. *Pamiętać i stosować prawdę, że słowa są dobre lecz lepsze są czyny i że dziś jest przede wszystkiem czas czynów, nie słów.*

12. *Kochać i szanować wszystkich Polaków i obywateli Polski i tak zawsze postępować, by nas kochano i szanowano.*

Wypełnienie tych obowiązków przez każdego Polaka i obywatela Polski zbliża również do szczęśliwego i szybkiego, zwycięskiego końca wojny.

Życzmy szczęścia Polsce, wszystkim Polakom nie słowami, a czynem, bo dziś tylko czyn jest twórczy i czyn rozstrzyga, czyn prowadzi do chwały i zwycięstwa, czyn na każdym polu pracy i walki.

Półkozic

Pozdrowienia i życzenia od Polonii Amerykańskiej

Zarząd Główny Rady Polonii Amerykańskiej, zebrany na Plenarnym Zjeździe w dniach 4 i 5 stycznia 1941 w mieście Chicago Illinois pomny wielkich zasług Twoich, Wodzu Naczelny, za cały okres walk o wolność Polski, a tym więcej w tym tragicznym okresie ostatnich miesięcy, kiedy wyłącznie Twoją zasługą w najtrudniejszych warunkach i na obcych ziemiach wznowiony został zbrojny czyn Polski, składa Ci wyrazy hołdu, najwyższego uznania i przywiązania. Na Twoje ręce, Wodzu Naczelny, przesyłamy Żołnierzowi Polskiemu, Marynarce Polskiej, oraz Lotnictwu Polskiemu, którzy dziś roznoszą po całym świecie tradycyjną sławę bohaterstwa polskiego, wyrazy najwyższego uznania i solenne zapewnienia serdecznej z nimi łączności, oraz życzenia zwycięskiej walki i poniesienia sztandarów w granice Wielkiej, Wolnej i Niepodległej Polski.

Cześć Tobie Wodzu bohaterskiej Armii, Marynarce Polskiej i Lotnictwu Polskiemu.

(Depesza ze Zjazdu, na którym m.i. zadeklarowano poprzeć Rząd R.P. przez wszechstronną pomoc, zaprotestowano przeciw izolacjonizmowi, uchwalono zacieśnić kontakt i współpracę z Czechosłowacją, postanowiono rozszerzyć akcję zbiórkową.

Na tę depeszę Naczelny Wódz wysłał odpowiedź, w której m.i. stwierdził:

" Liczymy na Wasz czynny udział w polskim wysiłku zbrojnym, którego celem jest Wolna Polska i Europa, oparta na poszanowaniu w życiu międzynarodowym zasad prawa, wolności i sprawiedliwości, które głosi z jak wielkim autorytetem Prezydent Roosevelt.")

Syracuse Polish Community, Inc.,
915-917, Park Ave., Syracuse, N.Y.

23 Listopada 1940 r.

Generał Władysław Sikorski,
World League of Poles Abroad,

Szanowny Panie Generale!

Dnia 22 Listopada został nadany kablogram na sumę £9-4-4 przez lokalny Bank, First Trust and Deposit Co. w mieście Syracuse, N.Y.

Wyżej wymienione pieniądze zostały zebrane na obchodzie Niepodległości Polski, urządzonego staraniem Gminy Polskiej Inc. w niedzielę 17-go listopada 1940 r. (do której należy 25 towarzystw).

Pieniądze zostały przeznaczone na Gwiazdkę dla Żołnierzy Polskich i dlatego takowe zostały przesłane na ręce Szanownego Pana Generała do rozdzielenia.

Panie Generale prosimy o łaskawą odpowiedź dla naszej Polonii w Syracuse, która jest zawsze chętna do niesienia pomocy naszym współbraciom.

Spodziewamy się że ta nasza drobna ofiara przyczyni się choć w części do podniesienia ducha naszym Kochanym Bojownikom o wyzwolenie demokracji świata, z pod tyranii nazizmu, faszyzmu i bolszewizmu.

Muszę zaznaczyć że nasza Polonia w mieście Syracuse do tego czasu złożyła na dozbrojenie Polskie 9,000 dolarów. A obecnie na Fundusz Ratunkowy Polski już z górą zostało złożone przeszło 9,000 dolarów i w dalszym ciągu idzie praca w tym kierunku.

Ubrania, bielizna ciepła, powłóczki, skarpetki i t.d. były wysłane i dalej się zbiera.

Z Wysokiem Poważaniem
kreślę się

Adam Schyliński, Kasjer Gminy Polskiej Inc. i przewodniczący Obchodu i Pan Janusz Lindner, wydawca "Nowin Polskich," jako całość Komitetu Obchodu.

Niagara Falls,
dnia 23/11/1940 r.

Do Pana Premiera i Naczelnego Wodza Władysława Sikorskiego.

Panie Generale,

Wzruszeni niedolą polskiego żołnierza, który dla wielkiej idei i wyzwolenia ludzkości i naszej Kochanej Ojczyzny, rozszedł się po całym świecie i żyje nie raz w trudnych warunkach dając przykład wszystkim narodom, jak walczyć o honor Ojczyzny.

Nas mała grupa Polaków w Niagara Falls w dowód najszczerszego uznania dla Ciebie Panie Generale i wszystkich polskich żołnierzy przesyłamy prezent Gwiazdkowy to jest weksel na sumę 25 dolarów i 10 centów do rąk Twych własnych, Drogi Wodzu. Prosimy bardzo o zakupno prezentów w postaci papierosów i innych prezentów Gwiazdkowych.

Z poważaniem (—) St. Graczyk
1473, Highland Av.,
Niagara Falls, Ont., Canada.

Szkic sytuacyjny



MARSZ W LIBII

Słowa, które piszemy dzisiaj będą przestarzałe w pewnym sensie, gdy się pojawią w druku na tych łamach. Wynika to z prostego faktu, że Anglicy prą na przód mocno na terenie Libii i że nie widać narazie, gdzie Włosi zechcą przyjąć rozprawę. Opór włoski nie zarysowuje się wyraźnie: Włosi idą najwidoczniej na wyczekanie, aż przeciwnik się zmęczy. Taktyka ta okazać się może dla nich bardzo zgubna.

Nie będziemy zatem mówić o sukcesach szczegółowych, o zajętych miastach, przebytych kilometrach; ograniczmy się do stwierdzenia głównych linij. Wyraziliśmy na tych szpaltach swojego czasu twierdzenie, że wojna błyskawiczna może pojawić się również na piaskach Afryki. Podkreśliliśmy jakie niebezpieczeństwo kryje się w marszu włoskim na Egipt. Przywołaliśmy na pamięć fakt, że pierwszy "*Blitzkrieg*" został właściwie zastosowany przez Włochów—w Abisynii.

Obserwatorzy wojskowi z prawdziwego zdarzenia wiedzieli czym ta wojna pachnie. Dowodem tego n.p.. książka jednego z naprawdę tęgich i rozumnych znawców wojskowych w Europie jakim jest generał J. C. Fuller: "*The first of the League wars*" (Pierwsza wojna Ligowa), wydana jeszcze w r. 1916. Przewidywała ona trafnie i dokładnie, jak potoczy się sztuka strategii w najbliższych latach. Wszystkie te wnioski wyczytał generał J. F. C. Fuller w czasie pobytu w Abisynii w dobie kampanii włoskiej.

Obawialiśmy się, że parcie włoskie może przybrać poważne rozmiary. Jakoż wychodzi dzisiaj na jaw, że władze angielskie na miejscu miały chwile przykrych obaw: przyznają się one do tego, że zarówno stan ludzki, jak ilość sprzętu w armii brytyjskiej była mocno niewystarczająca w dobie załamania się Francji. Dopiero na jesieni sytuacja uległa zmianie.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że Anglicy mają przewagę sprzętu i że ich przewaga morale i ochoty walki jest aż nadto widoczna. Jeżeli Włosi stracili już blisko 90,000 jeńca, to Graziani nie może mieć dzisiaj w Libii więcej jak 200,000 żołnierza. W tych warunkach kontrofensywa nie wydaje się rzeczą możliwą. Raczej starać się będzie Graziani iść na wydłużenie linii komunikacyjnych wojsk brytyjskich, na zmęczenie, na przeciąganie operacyj.

Czy mu się to uda—oto wielkie pytanie. Anglicy idą najwyraźniej wzdłuż brzegu, tak jak starali się iść Włosi w Egipcie. W ten sposób mogą się zaopatrywać z morza. Przypuszczalnie generał Wavell pójdzie na osaczenie Libii od strony morza: równocześnie terytorium Czad (wolna Francja) oraz Kongo belgijskie, które już zawarło odpowiedni układ z W. Brytanią—będą naciskać milcząco, a może z czasem i czynnie na Włochów.

Jeżeli Włochom nie przyjdzie jakaś niespodziewana pomoc, pomoc z nieba (aparaty niemieckie?), i jeżeli ta pomoc nie przybierze takich rozmiarów, iż zahamuje operacje brytyjskie—Libia jest stracona.

ODSIECZ NIEMIECKA

W jakim momencie przyjdzie ta pomoc i w jakiej postaci? Moment nie może być już zbyt daleki. Jeżeli Grecy dojdą do Walony a Anglicy do Benghazi sytuacja dla Włochów stanie się naprawdę groźna. Nie znaczy to jeszcze bynajmniej, ażeby faszyzm runął z niedzieli na poniedziałek. Nie, trzeba na to znacznie gorszych, cięższych, boleśniejszych ciosów.

Hitler musi przyjść z odsieczą Mussoliniemu. Ma do wyboru dwie drogi: uzyskanie baz w Bułgarii i dokonanie uderzenia powietrznego na Grecję, po którym przyszłaby akcja lądowa—mając w ręce skrawek lądu greckiego przygotować może już dalszy plan —albo uderzenie na Anglię w pełnym stylu (najazd).

Oba zabiegi nie są łatwe. Operacje przez Bułgarię w zimie, to ciężka i niewdzięczna robota, ale chyba nie niemożliwa (pamiętajmy, że Norwegia, teren o wiele trudniejszy poszła pod nóż w kwietniu, kiedy panowała tam jeszcze zima).

BUŁGARIA PUŚCI?

Pytanie pierwsze brzmi: czy Bułgaria przepuści wojska niemieckie, czy odda bazy powietrzne? Ze względu na to, że w Rumunii stacjonuje dzisiaj spora armia niemiecka, ze względu na to, że sztab bułgarski jest pro-niemiecki i że nacisk Rzeszy jest poważny —nie byłoby nic dziwnego, gdyby Bułgaria puściła. Wtedy powstaje pytanie: Czy Turcja będzie patrzeć na to biernie, czy też ruszy?

INWAZJA, ALE KIEDY?

Jeżeli jednak Hitler zdecyduje się na inwazję Anglii—to kiedy? Czy będzie czekał do wiosny? Znawcy angielscy skłaniają się do poglądu, który wypowiadaliśmy parokrotnie, że inwazja może nastąpić i w zimie. Mgła stanowi sprzymierzeńca lądującego wroga, paraliżuje ruchy floty. Do najazdu nie jest potrzebna piękna słoneczna pogoda.

Rzesza powinna próbować inwazji. Pogotowie jej na brzegu Francji, Holandii, Norwegii jest napewno poważne. A wreszcie—pozostaje Irlandia.

KŁOPOT IRLANDZKI

Irlandia, to "wieczne zmartwienie" Anglii. Kraj ten dąsa się i boczy na Anglię. Ponieważ Anglia nie ma ochoty na oddanie północnej części wyspy t.zw. Ulsteru więc Irlandia nie chce przystąpić do wojny, jest tą częścią Imperium, która zachowuje wolną rękę—bawi się w neutralność. Z zabawy tej wynika to, że bazy lotnicze i flotowe Irlandii nie służą Anglii i że mogą być pochwycone przez nieprzyjaciela.

Irlandia twierdzi, że ich nie da, że ma 150,000 żołnierza, ale obawiać się należy, iż nie starczy to na uderzenie niemieckie z powietrza, morza i przez lądowanie spadochroniarzy. Zatem Anglicy muszą być gotowi, ażeby na czas spaść z Ulsteru i przepędzić najeźdzcę, gdyby sięgał ręką po południową Irlandię.

Jest to niebezpieczna gra. Anglicy wiedzą, że *Luftwaffe* krząta się za dnia i w nocy nad Irlandią, że węszy i czyni wywiad. Nie mogą zająć sami Irlandii, aby nie podniósł się krzyk, ażeby nie dać pretekstu Rzeszy, aby nie polała się krew irlandzka i angielska—raz jeszcze i niepotrzebnie. Ale obiektywizm każe przyznać, że cierpliwość angielska wystawiona jest na wielką próbę i że doprawdy tolerowanie pod swoim bokiem takiej neutralności jest—trzymaniem bomby pod drzwiami wejściowymi.

W ZAWIESZENIU

Obecna sytuacja ma dalej luki: nie padły karty niemieckie. Nie wiemy, co zrobią Niemcy. Wiemy na razie, że Hiszpania nie idzie na awanturę, albowiem jej się to nie opłaca, że Francja stawia opór i że gra wyszystkimi atutami, jakie jej pozostały. Nie są to bynajmniej takie sobie nędzne atuty —wystarczą, ażeby napędzić niepokoju całkiem podobno potężnym mocarstwom.

To jest pozytywne i dobre—poza zwycięstwami Grecji w Albanii i Anglików w Libii. Reszta rzeczy pozostaje w zawieszeniu. Czujemy jednak przez skórę, że zawieszenie to potrwać długo nie może.

Najbliższe tygodnie wymagać będą wielkiej czujności. Zaczęła się ruszać jedna ściana: bliskiego Wschodu, ale ściana bliższego Zachodu stoi tajemniczo nieruchoma.

Rzesza czai się do skoku. Nie może ona dopuścić, ażeby Anglia poczęła czerpać pomoc od Ameryki w zbyt wielkiej mierze. Moment ten zacznie się od maja lub czerwca. Mowy Roosevelta dowodzą, że Stany Zjd. znajdują się na "ścieżce wojennej" i że do otwartego konfliktu nie wiele już brakuje.

Berlinowi nie wiele pozostało czasu do namysłu i do wykonania niesłychanego planu—ciosu w Anglię, inwazji.

Zbigniew Grabowski

Abisynia powstaje

Bębny cesarskie biją w Abisynii. . . . Z góry na górę, z doliny w dolinę bębny te niosą wieści, że nadeszła chwila powstania, że przyszedł moment wypędzenia najeźdźcy. I już przychodzą wiadomości o zorganizowanej ruchawce, o dziesiątkach rasów, którzy chwycili za broń, o nieustannym dopływie wojowników abisyńskich do pogranicznych posterunków angielskich.

Panowanie włoskie w Abisynii nigdy nie było ustalone. Pojedyńczy oficer czy żołnierz włoski, małe nawet oddziałki wojskowe nigdy nie ośmielały się wychylać nosa poza miasta, poza ufortyfikowane pozycje. Kolej Addis Abeba—Dżibuti co chwila przestawała funkcjonować z powodu uszkodzenia torów. Tak było i przed wojną europejską, tak było i potem.

Ta gerylasówka jednak nie mogła mieć decydującego znaczenia. Przed wojną nie było dopływu broni dla powstańców, a i po wejściu Włoch do wojny wielka masa wojsk skoncentrowana w Abisynii wystarczała na utrzymanie "pokoju." Ba, wojska te wyruszały na wyprawy zdobywcze. Natychmiast prawie po upadku Francji wojska brytyjskie zostały zmuszone do wycofania się z Somalii. I jedynie fakt, że cesarz Haile Selassie z wygnania londyńskiego wyruszył do Sudanu na granicę swego państwa symbolizował, że rachunek abisyński—nie jest jeszcze zamknięty. A zdawał się formalnie zamknięty w dniach Monachium.

Jeżeli więc dziś bębny cesarskie biją z powrotem, jeżeli następca tronu abisyńskiego oficjalnie czyni przegląd wojsk abisyńskich to oznacza to, że otworzył się nowy rozdział wojny. Oznacza to, że po zwycięstwach brytyjskich wojsk w Libii przyszła kolej na otworzenie nowego frontu w Afryce i że w Abisynii, to nie wojska włoskie szykują się do wyprawy na Chartum, lecz wojska brytyjskie i południowo afrykańskie przechodzą do ofensywy.

Rezultat tej ofensywy jest niewątpliwy. Wojska włoskie w Abisynii, choć liczne, odcięte są od wszelkiego dowozu. Nie mogą dostać ani posiłków, ani broni, ani amunicji. Atak na nie może pójść z czterech stron: od Kenyi, od Sudanu, od Południowej Afryki, od wewnątrz. Fakt zaś, że dowództwo brytyjskie zdecydowało się na ofensywę dowodzi, że już zgromadziło dostateczne siły, by zadaniu sprostać.

Po za tym czysto strategicznym znaczeniem kampania abisyńska ma jednak i inne znaczenie: moralne. Jest to nie tylko kampania o zniszczenie jednej z armii włoskich, o zajęcie terytorium, będącego pod panowaniem Włoch. Udział Haile Selassiego w kampanii świadczy o tym, że jest to także kampania o naprawienie jednej z krzyczących krzywd, o uwolnienie narodu, który pierwszy popadł w niewolę.

Dziwnie się złożyło, że obie wojny światowe zostały spowodowane przez ambicje zdobywcze Italii.

Wojny bałkańskie, które były przygrywką do wojny 1914-1918 stanowiły proste następstwo wojny włosko-tureckiej o Tripoli. Osłabienie imperium sułtańskiego przez tę wojnę dało narodom bałkańskim sygnał urzeczywistnienia ich dążeń. (Nawiasem mówiąc wyprawa trypolitańska, typowa wojna zaborcza, była wówczas w Italii niesłychanie niepopularna. Kobiety kładły się na szyny, by nie puścić pociągów, idących na front. Socjaliści oskarżali rząd o bandytyzm. A głównym agitatorem antywojennym, tym, który najgoręcej potępiał wojnę zaborczą był niejaki . . . Benito Mussolini.)

Wojna zaś dzisiejsza niewątpliwie rozpoczęła się we wrześniu roku 1935, gdy ten sam Mussolini kazał swym wojskom przejść przez granicę abisyńską. To bankructwo sankcji przeciwko Włochom napastniczym wpędziło państwa skandynawskie, Belgię, Holandię w "neutralność." To nieuchwalenie sankcji naftowej ośmieliło Hitlera do wejścia do Nadrenii. To bezkarność wykreślenia Abisynii z liczby państw żyjących upewniła Führera, że demokracje są bezsilne i że nikt mu nie stanie na przeszkodzie, gdy zechce zlikwidować Austrię, Czechosłowację, Polskę. . . .

Co do Polski jedynie się pomylił. Polska stawiła opór. Anglia i Francja dotrzymały przymierza. Od półtora roku toczą się zmagania o wolność świata. I bębny cesarskie znowu biją w Abisynii.

Dobrze pamiętam ten dzień czerwcowy 1936 roku, gdy kilku nas czekało na aerodromie genewskim na samolot, którym przylecieć miał cesarz Haile Selassie. Pamiętam tę drobną postać z czarną bródką, smutną i pełną powagi, gdy rozmawiał z nami. Addis Abeba była już zajęta, w Abisynii walczyły jeszcze tylko niedobitki. I Haile Selassie przybył do Genewy na Zgromadzenie Ligi Narodów, by ostatni raz żądać skutecznej pomocy.

Dwa dni potem stanął na trybunie. I w tej samej chwili zerwała się straszliwa kocia muzyka. "Dziennikarze" włoscy na rozkaz konsula generalnego gwizdkami witali pobitego wroga. Przez chwilę było zamieszanie. Policjanci wpadli na salę i poczęli gwałtem wyciągać demonstrantów. Titulesco impulsywny, jak zawsze, skoczył na równe nogi i począł wołać w kierunku prezesa Zgromadzenia, van Zeelanda "Na miłość Boską, niech Pan nakaże milczenie tym barbarzyńcom." Wszyscy byli do głębi poruszeni, wielu płakało. Płakał głośno stary Dedjasmach Nassibu, jeden z najodważniejszych generałów abisyńskich, który wkrótce potem zresztą umarł z zatrucia gazami na froncie.

Jeden jedyny cesarz Haile Selassie stał nieporuszony na trybunie, i gdy hałas ucichł począł mówić głosem równym, spokojnym, jakby nic się nie stało—

"Ja, Haile Selassie, cesarz Etiopii jestem tu dzisiaj, by żądać sprawiedliwości dla mego narodu i tej pomocy, którą mu osiem miesięcy temu pięćdziesiąt narodów obiecało, stwierdzając, że dokonano napaści, gwałcącej traktaty międzynarodowe. Nikt inny, tylko cesarz może w imieniu narodu etiopskiego zwrócić się do tych pięćdziesięciu dwóch narodów.

Nie ma może precedensu, żeby głowa państwa przemawiała w tym Zgromadzeniu. Ale nie ma też precedensu, żeby naród był tak straszliwie skrzywdzony i zagrożony oddaniem na łaskę najeźdźcy. I nie było jeszcze przykładu tak systematycznego wytępienia narodu najbardziej barbarzyńskimi sposobami, wbrew najbardziej solennym obietnicom wobec wszystkich narodów świata, że już nie będzie wojen zdobywczych, i że przeciw niewinnym nie użyje się tej straszliwej broni, jaką są gazy trujące. Ja, głowa państwa etiopskiego, przybyłem tu do Genewy po walce na czele mych wojsk, by spełnić ten ostatni obowiązek, by bronić ludu, który walczy o odwieczną niepodległość.

Proszę Boga Wszechmogącego, by oszczędził innym narodom straszliwych cierpień, które są dolą mego narodu i których przerażonymi świadkami byli ci, co mi towarzyszą. . . ."

To były pierwsze słowa. A na zakończenie tej mowy powiedział:

"Pytam pięćdziesięciu dwu narodów, które obiecały narodowi etiopskiemu pomoc w jego oporze przeciw najeźdźcy: Co chcecie zrobić dla Etiopii?

Przedstawiciele świata, przybyłem do Genewy, by spełnić tu najcięższy obowiązek głowy państwa. Jaką odpowiedź mam zanieść memu ludowi?"

Odpowiedzi nie było. Prawo ugięło się przed siłą. I przyszła Etiopia austriacka, Etiopia czeska, Etiopia albańska.

Noc panowała nad światem. Wrzesień roku 1939 noc tę zakończył. Podjęta została walka, walka, którą doprowadzimy do zwycięskiego końca.

I bębny cesarskie znowu biją w Abisynii.

Czesław Poznański

List do wszystkich

Dawno już odczuwałem potrzebę bliższego i bezpośredniego porozumienia z Wami, Drodzy Czytelnicy "Polski Walczącej." Przez pewien czas myślałem, że wystarczą listy, tych kilkadziesiąt listów, jakie co miesiąc rozpisuję, najwięcej ile człowiek dźwigający ciężką i odpowiedzialną pracę może rozpisać. Zdawało mi się ważniejsze załatwić kilkadziesiąt spraw jednostkowych, rzeczywistych, doskwierających lub choćby niewygodnych. Uspokoić niepokój o to i owo, tu posłać adres, tam informację o potrzebnej książce, komuś innemu pomóc w kłopotach autorskich czy zgoła jeszcze bardziej osobistych. Dziś czuję potrzebę napisać list do wszystkich, którzy biorą te karty do ręki i uważają je za swoje.

Do tego "listu otwartego" skłania mnie list, który dostałem niedawno, w okresie świątecznym, w stosie życzliwej i serdecznej korespondencji. Jest to właściwie list prywatny—od kolegi i przyjaciela, też żołnierza. Przyjechaliśmy razem do Coëtquidan w pierwszej jedenastce i w jednym aucie. Nasiedzieliśmy się potem przez wiele miesięcy przy jednym stole, namieszkali przez ścianę, namarzli, nasmucili, naźlili wspólnie i—razem, w kupie, w gromadzie, z której tylu już przepadło, przeżyli niejedno dobre, radosne, i niezapomniane. Więc właściwie tego listu nie należało by wynosić przed Was i Was nim zaprzątać. Ale dotyczy on nie sprawy mojej i "Żaka" tylko, ale zasadniczej, gromadzkiej, wspólnej. Osądźcie zresztą sami:

"Polskę Walczącą" czytam w dalszym ciągu z ogromnym zainteresowaniem i mogę Cię "bez zalewania" poinformować, że większość czyta ją od deski do deski. Byłbym nieszczery, gdybym nie podał Ci jej błędów. Dlaczego dostajemy do świetlicy batalionu tylko 1 egzemplarz a nie kilka egzemplarzy? Czy nie mógłbyś się przenieść wraz z redakcją do Szkocji—bliżej wojska i zostawić w Londynie tylko człowieka, któryby utrzymał łączność z władzami i korespondentami londyńskimi? "Polska Walcząca" wiele by skorzystała na zacieśnieniu kontaktu z wojskiem. Sądzę, że wtedy każdy żołnierz uważałby to pismo za bliższe siebie, a nie wydawane "tam gdzieś w Londynie." Wiem, że dotychczas nie wypadało Ci przenieść się z Londynu, by nie można Wam było zarzucić ucieczki przed bombami, ale teraz bombardowania osłabły. Nie bierz mi za złe tej szczerości, ale uważam to za swój obowiązek napisać Ci, co myślę. Zdaję sobie też sprawę, że wiesz o tym doskonale, ale może nie uważasz tego za tak ważny problem."

Przeciwnie, Drogi "Żaku," i Kochani Czytelnicy uważam go za najważniejszy. I dlatego postaram się odpowiedzieć jak najszczerzej.

Mógłbym po prostu odpowiedzieć, że taki mam rozkaz. Rozkaz to rozkaz—nie ma co gadać. Ale każdy z nas wie, że rozkaz zrozumiany spełnia się lepiej, i może łatwiej, i może chętniej. Każdy z nas wie, że istota żołnierskiego posłuszeństwa polega na tym, aby wykonać rozkaz, nawet kiedy się go nie rozumie, ale wyższy stopień tego posłuszeństwa stanowi—rozumieć i wykonać to, co się rozumie.

Więc trzeba wpierw ustalić jakiego to wojska miałbym być bliżej, czy tego, które w pocztowej nomenklaturze nazywa się: P/1, P/25, P/52? Jeślibym był blisko jednego, byłbym już dalej od drugiego, bardzo daleko od innego jeszcze. A potem "wojsko." Co to jest "wojsko"? Czy tylko piechota, tylko armia lądowa? Sam jestem "piechociniec," "zając," "skaczybruzda," motorem nigdy nie jeździłem chyba że mnie kto woził. Ale mimo całej dumy, której musimy tak mocno bronić przeciw "pancerniakom," nawet "cekaemistom," nie mówiąc o innych, niepodobna nie zgodzić się na bezsporny fakt, iż oprócz nas wszystkich, którzy w szybszym lub wolniejszym tempie pełzamy po ziemi jest jeszcze marynarka, są lotnicy. I wiemy dobrze, co "bez zalewania," według uczciwych słów mego kolegi "Żaka," o nich myśleć. Też mieli by święte prawo powiedzieć, że mam być przy nich. Mogli by ci z "Burzy" albo z "Wilka" powiedzieć: siedź w tej portowej dziurze, i wypatruj tęsknie, póki nie wrócimy. Mógłby to samo powiedzieć i dywizjon 303. Znowu bym sobie tak bardzo nie krzywdował. Siedziałem przecież w owym historycznym "Koczkodanie" i nie prosiłem się z niego. I to pismo, wierne Wam—można tak bez większej przesady powiedzieć—jak pies, narodziło się przecież w tym obozie, redagowało się, pisało najpierw w baraku C1, póki nie dostąpiło zaszczytu służenia wszystkim obozom, wyrażania tego, co się pisze we wszystkich barakach, dawania, w miarę sił, tego, czego się we wszystkich barakach, namiotach, kwaterach potrzebuje.

Do tego jest i do tego służy "Polska Walcząca." Dlatego przebywa w środku nas wszystkich— w Londynie, gdzie jest głowa całego wojska, gdzie mieści się Kierownictwo Marynarki Wojennej i Inspektorat Sił Lotniczych. Dlatego nie jest ani w m.p. Twoim, "Żaku," ani w żadnym z Twoich, Drogi Czytelniku X,Y,Z, ile tysięcy Was jest, Czytelniku Bezimienny, Ty, który czytasz "od deski do deski," co tu jest dla Ciebie w najlepszej woli i wierze napisane, co Ci się raz podoba, raz nie, o czym masz prawo powiedzieć wszystko i jeśli mówisz nawet źle—słucham Cię i jestem Ci wdzięczny.

Są bliżej przestrzennie te pisma, które rodzą się teraz wśród Was, jak "Polska Walcząca" urodziła się w najpierwszych tygodniach wojny: "Wiadomości ze Świata," "Odwet" i "Dziennik Żołnierza" i "Głos Cekaemisty" i "Biuletyn Zachodnio-Słowiański" — te wszystkie, których było dużo, jest mniej i znowu może być więcej, które są póty, póki jest ochota, okazja, póki nie ma nic ważniejszego i lepszego do roboty, na przykład—przywitać zamorskich gości, wybierających się tu bez paszportu i nie w turystycznych zamiarach. Natomiast "Polska Walcząca" ma być ciągle, zawsze i mimo wszystko. Raz już miała sposobność dowieść tego: była, doszła na czas—mimo bomby w drukarni i redakcji. To pismo ma być takim samym znakiem naszej żołnierskiej jedności, jak orzełek, który wszyscy nosimy, jak biało-czerwony naramiennik, który z nagłówka naszego pisma powtarza chlubne, najdroższe nam słowo—"Poland."

Ostatnio pojawiły się próby dość nierozsądne i daremne, aby między pismami tam Waszemi, i tutaj Waszą "Polską Walczącą" wykopać rów—zaiste nie przeciwczołgowy. Wydaje się to niedość rozsądne, bo każdy, kto jest choć trochę żołnierzem (a piszący te słowa nie jest ani "starym wiarusem," ani "wojakiem osiwiałym w bojach")—dobrze wie, że można i należy kochać swoją drużynę, swój pluton, być dumnym z przynależności do pułku o dobrej sławie, do "czarnej brygady," która ją na oczach naszych zdobywała i że te przywiązania nie są sprzeczne z dumnym poczuciem przynależności do Armii Polski Walczącej, do wszystkiego co tę wspólnotę wszystkich drużyn, plutonów, pułków, brygad wyraża, co na tę wspólnotę pracuje. Wydaje się to kopanie także daremne, bo ci, którzy robią rozmaite pisma obozowe, piszą w tym piśmie wspólnym. Poeta, literat, i dziennikarz, dziś prosty żołnierz i redaktor "Głosu Cekaemisty" jest stałym korespondentem "Polski Walczącej," redaktor "Polski Walczącej" był na święta gościem "Wiadomości ze Świata." Z "Odwetem" podzieliliśmy śliczną kolendę Kowalskiego.

Mogę powiedzieć bez przesady, że obozy, że żołnierze piszą dużo. Zadałem sobie trud, aby policzyć artykuły w londyńskiej "Polsce Walczącej" z ubiegłego roku. Do końca stycznia ukazało się w niej 215 prac żołnierzy na 125 prac nie-żołnierzy.

Dziś można by, gdyby kto chciał kroniką życia obozów wypełnić nie jedną stronę, ale cztery i pięć, na siłę i wszystkie, ile ich jest—osiem. Więc nie uważam, żeby to pismo było daleko od żołnierza. Zapewne jest daleko w tym sensie, że mu nie "zalewa," że mu nie pochlebia, że go nie kaptuje, bo to między nami nie uchodzi i nikomu do niczego nie jest potrzebne. Nie robimy osobistej polityki w tym piśmie. Ani żadnej innej. A gdy się gorliwemu sprawozdawcy przydarzyło jakieś "raźno" czy "dziarsko"—było słychać Wasze zgrzytanie aż tu, i ja muszę Was mniej chwalić, niżbym z serca chciał. I mniej pisać o Waszym powszednim życiu, niż by można było. Bo ileż to razy słyszałem, że żołnierz ma dość obozu w obozie i w swoim piśmie chce świata, od którego jest daleko, chce szerokiego oddechu, wiedzy faktów i zdarzeń, szuka pomocy w wyjaśnieniu spraw, które go zajmują, niepokoją i bolą, pragnie spotkania z innymi ludźmi, nie z kolegami tylko.

Dlatego są tu i byli od pierwszego numeru pisarki i pisarze artystki i artyści, uczeni, publicyści i dziennikarze—ludzie dobrej woli, czystych intencyj, ludzie bez próżności i interesowności, ci wszyscy, którzy zaprzątali się i zaprzątają naszym losem, uważają za obowiązek, więcej, czują serdeczną potrzebę, aby do nas mówić. Nie wymienię z nazwiska tej najświetniejszej na emigracji pisarki, która ani razu nie odmówiła, gdy jej napomknąłem o pisaniu do "Polski Walczącej." Należy się jej choć niewymienionej i całemu szeregowi innych—wdzięczność od nas wszystkich.

Jest w ten sposób "Polska Walcząca" i chciała tym być od początku więzią wspólnoty, pomostem między wojskiem i emigracją cywilną. Rok temu, gdy dokonywało się połączenie obozowego pisma "Polska Walcząca" z pismem dla żołnierzy, wydawanym przez wychodźstwo zarobkowe: "Żołnierz Polski we Francji"—ze szczerym przekonaniem pisaliśmy, że społeczeństwo nie istnieje, nie zdolne jest obronić swojego istnienia bez żołnierza, że żołnierz nie ma racji i sensu bez społeczeństwa. Ci, którzy byli we Francji, ci, którzy zostawili we Francji rodziny wiedzą, jak to było słuszne, wiedzą w ilu domach czytano "Polskę Walczącą," obok pism zdawna tam osiadłych. I dziś każdy z Was, prócz tego żołnierskiego tygodnika, może sobie dobrać i pewnie dobiera według woli i upodobania jakieś z pośród pism wychodzących w Anglii. O *żadnym* z nich, jak sami wiecie, nie powiedziano tutaj ani jednego złego słowa. I to także nie jest nasza rzecz.

Tak wygląda ta sprawa ujęta ogólnie i zasadniczo. Nie chcę już, jeśli to zajęło tyle miejsca zaprzątać Was szczegółami technicznymi. Ci którzy czytają "Dziennik Żołnierza" wiedzą, ile to bratnie nam pismo, rosnące z pomiędzy nas, jak wyrosła "Polska Walcząca"—ma do przezwyciężenia przeszkód ze zdobyciem znaków polskich, że nie może dostarczyć aktualnych zdjęć z powodu braku kliszarni i td. Ale to już są nasze "kuchenne" kłopoty i zbyt wiele by można o nich pisać.

Pozwól Drogi "Żaku," który jesteś winien tej długiej pisaniny i pozwólcie Wy, Drodzy Czytelnicy, których nie potrafię wymienić po imieniu, że zrobię na koniec jedno jeszcze wyznanie. Ja czuję się blisko Was i Waszych spraw i Waszego życia. Ale nie będę taił, że nigdy nie będę czuł się dosyć blisko. I to tylko od Was zależy, abym się czuł bliżej, najbliżej. Wy, każdy z Was może mi dać odczuć tę bliskość, może zwiększyć ją, pomnożyć, właśnie tak, jak to uczynił "Żak," przyjaciel, kolega i żołnierz.

Tymon Terlecki

UCIECZKA W TATRY

Gdzie na halach, szałasy, w twardym światłocieniu
Są jak stożki, w niebieskim rzeźbione krzemieniu,
Gdzie gencjana—goryczka, nieulękła w pustce
Wspina się jak góralka w szafirowej chustce,
Gdzie skrawkiem czystej wełny ścieli się szarotka,
Gdzie wśród piargów kozicę lub świstaka spotkasz
Gwiżdżącego na baczność; gdzie wonna leluja
Różanem rusztowaniem na powietrzu buja,
Gdzie dziki krzak agrestu, blisko strony czeskiej
Stroi się w szkiełka rosy, podłużne, niebieskie,
Jak świecznik zagraniczny—tam pokłoń się Tatrom,
Tam myślą się zatrzymaj. Drzemią, na kształt matron
O suchych, orlich twarzach . . . Matron nietykalnych!
Spokojne pośród wichrów orawskich czy halnych,
Trwają, obce nizinom. Ani wiedzieć nie chcą
O grzmotach, które łunę wśród ciemności niecą,
Niszcząc świat.—Tu, jak cicho! Kędy sięgniesz wzrokiem
Niewoli nie dostrzeżesz. Progi za wysokie. . . .

Maria Pawlikowska

WOJNA BEZ PIEŚNI

W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez skargi,
Nie trzeba słów krzepiących i fanfar bojowych;—
Dość haseł—wymawianych przez pokorne wargi
I gestów, przed którymi schylały się głowy.

Zawiodły słowa wzniosłe, nie stały się ciałem,
Ale garścią popiołów na pobojowiskach . . .
Przybądź nowa ojczyzno, jaką mieć cię chciałem,
Togom i wieńcom—obca, zwykłym ludziom—bliska!

W tej wojnie bez litości nie potrzeba pieśni,
Co mają kwitnąć chmurnie na krwi i cierpieniu,
Żeby zwyciężyć dzisiaj i zwycięstw nie prześnić,
Trzeba przyciszyć struny i walczyć w milczeniu.

Nie bójmy się milczenia. W wojnie i nieszczęściu,
Gdy zamiast ludzi niebo przemawia i bije,
Słowo niech będzie skąpe lecz ma siłę pięści,
A pieśń niech na dno serca zejdzie—i tam żyje.

W sobie odnajdziesz zawsze wierny szept miłości,
Co drga, jak wieczna gwiazda, naprzeciw złu świata,
Idź, jak szedłeś przed laty przez ogród młodości
Po stokrotnie deptanych i wciąż żywych kwiatach.

Stamtąd rodzą się pieśni z nienazwaną siłą:
Z ziemi co cię wydała, z chmur co nad nią stoją,
Z pól pachnących naprzemian chlebem i mogiłą,
Z cichych wieczorów letnich . . . — I każdy ma swoją.

Gdy czarny ciężar zwątpień zaciąży zbyt mocno,
Gdy ziemia drży, a niebo motorami warczy,
Wyciągnij pieśń najcichszą—ciemną porą nocną—
Jak stary list od matki i to ci wystarczy.

I nie bój się tych wzruszeń, przyjacielu miły,
Bo w nich są te najcichsze i najgłębsze siły.
Bo w nich są moce takie, o jakich się nie śni . . .

W tej wojnie bez litości, w tej wojnie bez pieśni.

Stanisław Baliński

TAM

Łączą się, plączą ze wszystkich stron,
skrzą się i srebrzą iście wzorzyście
mleczno-świetliście w liście i w kiście.

Mróz. . . .

Osędził korę strzelistych brzóz,
powarzył kiełki, poskuwał wody,
w biel oprószoną zasnuł ogrody.

Po drogach siwy wiruje kurz. . . .

Śpi ziemia, zatulona w białe wełniaki,
a mróz na szybach
maluje kwietne szlaki.

Antoni Bogusławski

Dzień w Warszawie

Jest mglisty chłodny ranek wrześniowy. Po upalnych dniach maja i czerwca nastały chłody i deszcze, trwające cały lipiec i sierpień. Temperatura spadała nieraz do 8 stopni Cels., chmury zasnuły niebo, potęgując nastrój przygnębienia, jakim żyje ludność polska w tzw. Generalnej Guberni. Warszawa budzi się ze snu. Snu gorączkowego, pełnego realnych i nierealnych koszmarów.

Bilans dzisiejszej nocy—aresztowania i rewizje w dzielnicy mokotowskiej — Gestapo "nakryło" tajną radiostację odbiorczą, jest paru zabitych, szereg rannych. Mleka dziś w Warszawie nie będzie, bo szereg wozów chłopskich zatrzymano na rogatkach, rekwirując wieśniakom wszystkie towary wiezione na targ. Trudno, dzieci dostaną na śniadanie kaszkę na wodzie. Co za szczęście, że zostało nam jeszcze trochę zapasów z ubiegłego roku. Jak ta reszta się wyczerpie—no, to będziemy się wtedy martwić—może do tego czasu wojna się skończy?

Cóż kiedy obecnie nadzieje na szybki koniec wojny rozwiały się niestety. Nawet najgorliwsi optymiści, którzy jeszcze w początku czerwca zakładali się—o dobrą kolację—że wojna się skończy jeszcze w bieżącym roku, wyzbyli się swego optymizmu. Wróżki i stoliki wirujące, gorączkowo pracujące przez cały maj i czerwiec, straciły na razie swoją popularność. Już teraz nikt nie pyta, kiedy się wojna skończy, tylko—jak długo Anglia będzie się trzymać? Cała uwaga i wszystkie nadzieje skupiły się obecnie na Wyspach Brytyjskich, gdzie idzie rozgrywka o losy świata.

To też, kiedy dotarły do nas wiadomości, że wojska nasze i rząd znajdują się w Anglii, nadzieja znów wstąpiła w nasze serca. Więc my nie *skapitulowaliśmy*. Bijemy się dalej, wszystko jedno gdzie, byleby walczyć z odwiecznym wrogiem Polski.

Walczymy nadal i tu w Polsce. Toczymy tu najcięższą walkę, jaką kiedykolwiek naród nasz toczył. Żołnierzem na froncie jest każdy Polak, mężczyzna i kobieta, starzec i dziecko. Walczymy o nasze istnienie, o nasze najświętsze prawa, o naszą wiarę, *o duszę* narodu.

Straszna to i nierówna walka. Przeciwko nam stoją dwie złe potęgi, Niemcy i Rosja. Dziesiątki zmechanizowanych dywizji, tysiące bombowców, cały aparat policyjny ze swoimi obozami koncentracyjnymi i więzieniami. My—zbrojni jedynie w słuszność naszej sprawy i *wiarę* w zwycięstwo dobra nad złem, sprawiedliwości nad gwałtem. To broń niezwalczona i tej ślepej, mistycznej wprost wiary nie damy sobie wydrzeć, dopóki jeszcze bije choć jedno polskie serce.

Szary, mglisty ranek. Do pokoju wdziera się przemocą śpiew wymaszerowującego na ćwiczenia oddziału niemieckiego wojska. Wdzierają się gardłowe, chrapliwe dźwięki pieśni "zdobywców świata": "do nas należy dziś Europa, jutro naszym będzie cały świat!" Twardo wybijają takt, płosząc stada zgłodniałych i zziębniętych wróbli. Ostatni to już z naszych uskrzydlonych przyjaciół, gołębi bowiem, tak dawniej licznych w Warszawie, prawie już nie ma. Zostały po prostu wyłapane i—zjedzone w czasie oblężenia i długiej, ciężkiej zimy, kiedy głód zaglądał do tylu okien, w braku szyb, zabitych deskami i zaklejonych papierem.

Czas iść do pracy. Droga daleka, ale na szczęście tramwaje już uruchomiono. Wprawdzie skrócono znacznie trasy, tak że mimo niewielkiej pozornie podwyżki, bo zaledwie o 5 gr. na cenie biletu normalnego, faktycznie cena przejazdu znacznie wzrosła. Aby się dostać na przykład z Grójeckiej na Pragę trzeba zmienić trzy tramwaje. Tłok w nich panuje nieopisany, bo to jedyny prawie środek komunikacji w mieście, pozbawionym samochodów i taksówek, a dorożek konnych jest bardzo niewiele wobec stale dokonywanych rekwizycji koni dla wojska niemieckiego.

Zjawił się wprawdzie nowy środek komunikacji, jakim są t.zw. "riksze." Są to trzykołowe wózki rowerowe z ławeczką na dwie osoby z przodu, napędzane pedałami przez siedzącego z tyłu rowerzystę—"rikszę." Ale to droga przyjemność przy dzisiejszym braku gotówki, koszt jazdy wynosi tyle, co dawniej taksówka. Korzystają przeto z tej komunikacji głównie panie i to tylko w śródmieściu na asfaltach. Na gorszym bruku biedny riksza strasznie się męczy, nieprzyzwyczajony do tego rodzaju pracy, bo przecież to zwykle albo student, albo bezrobotny urzędnik.

Tramwaj mija po drodze oddziały maszerujących do pracy żydowskich robotników. Łopaty lub kilofy na ramieniu, po bokach dziesiętnicy, na czele oddziału dowódca, wszyscy z opaskami na prawym rękawie. Na białej opasce narodowa oznaka żydostwa — sześcioramienna niebieska gwiazda sjońska. Maszerują niegorzej od idących przed nimi oddziałów niemieckiego wojska. Otrzymują dziennie po 3 zł. żołdu od gminy żydowskiej. Żydzi, którzy nie chcą pracować płacą na rzecz gminy po 10 zł. dziennie. Żydzi mają sprawną organizację i gotowe wyćwiczone kadry robotnicze. Dzięki temu wśród proletariatu żydowskiego znacznie mniej odczuwa się bezrobocie, niż wśród proletariatu polskiego, a zwłaszcza największych obecnie proletariuszy, jakimi stała się cała prawie inteligencja polska.

Mijamy Dworzec Główny przy Al. Jerozolimskich, nazywających się obecnie Bahnhof Strasse. Stary dworzec, zniszczony skutkiem bombardowania został całkowicie rozebrany. Zniknął w ten sposób bezpowrotnie charakterystyczny acz szpetny budynek, który był jednak miły naszemu sercu jako wspomnienie dawnej Warszawy.

Prowizoryczna buda drewniana dworca odjazdowego spłonęła również doszczętnie. Niemcy jako tako uporządkowali nieco uszkodzony pociskami nowy niewykończony jeszcze dworzec, który zresztą najwięcej ucierpiał był skutkiem pożaru, wynikłego z powodu sabotażowego podpalenia przed samym wybuchem wojny. Pokrywa się gmach tymczasowym dachem, wnętrze jako tako się uporządkowuje, zresztą, zdaniem Niemców, nie potrzebuje on mieć charakteru reprezentacyjnego jako że obsługuje miasto prowincjonalne.

Z daleka rzucają się nam w oczy wielkie czarne litery napisu nad wejściem do dworca: "*Hauptbahnhof Warschau.*" A wewnątrz—same niemieckie napisy, służba porządkowa, kasjerzy, bileterzy—w mundurach niemieckich kolejarzy, tylko tragarze zostali ci sami, dawni polscy numerowi, ostatni Mohikanie polskości na tej całkowicie zgermanizowanej placówce.

Domy na Chmielnej przylegające do dworca, również leżą w gruzach, które się powoli uprzątą, tak że plac dookoła Dworca choć przeraża sterczącymi ruinami imponuje swoją wielkością, nasuwającą mnóstwo pięknych pomysłów urbanistycznych. Mimo woli przychodzi do głowy myśl żartobliwa mimo tragizmu tej pustki i ruin,—czy czasem który z urbanistów naszego byłego Zarządu Miejskiego nie kierował niemieckim ogniem artyleryjskim?

No, bo proszę—ulica Wierzbowa została dwukrotnie poszerzona, trotuar od strony M.S.Z. znacznie szerszy, asfalt położony na dwa razy szerszej ulicy, na miejscu szeregu domów po przeciwległej od M.S.Z. stronie, między innymi na miejscu Hotelu Angielskiego, który zniknął bez śladu. Resztę ruin odgradza od ulicy nisko umieszczony sznurek. Trębacka została rozszerzona skutkiem zniszczenia Hotelu Rzymskiego. Marszałkowska wychodzi obecnie bezpośrednio na Plac Bankowy, a na miejscu zburzonego Oficerskiego Yacht Clubu zbudowane są bulwary nad Wisłą.

A gruz setek zburzonych domów wywożony jest furmankami na niwelowanie Saskiej Kępy pod tereny—przyszłej wystawy światowej. Oj marzenia, marzenia! A tymczasem sterczą ruiny, ludzie gnieżdżą się byle jak i przymierają głodem a teror niemiecki z dnia na dzień się wzmaga.

Na rogu Alej Jerozolimskich i Nowego Światu zmieniam tramwaj, aby jechać na Pragę. Obok mnie ponura, obtłuczona fasada Banku Gospodarstwa Krajowego, który się obecnie remontuje. Po drugiej stronie ulicy—ruiny dawnego budynku Ministerstwa Komunikacji. Dalej w Alei III—go Maja podziurawione pawilony Muzeum Narodowego, również obecnie remontowanego przez Zarząd Miejski. Zbiory zostały "zabezpieczone," mówiąc urzędowym stylem niemieckim, to jest po prostu skonfiskowane i wywiezione do Niemiec. Obecnie jakoby część poloników ma być zwrócona, jak również zbiory związane z Warszawą, mające wspólnie stanowić muzeum regionalne.

Przejeżdżamy przez most Poniatowskiego. Okazuje się, że niełatwo jest zniszczyć most, nawet w tak słabo zaopatrzonym w broń przeciwlotniczą mieście, jak była Warszawa. Należy jednak przyznać, że dopóki było można—tu się koncentrowała najsilniejsza obrona przeciwlotnicza, ale też i tu były najsilniejsze naloty. Świadczą o tym ruiny szeregu domów na Powiślu, między innymi bardzo ciężko uszkodzonej elektrowni, która mimo bohaterskiego poświęcenia personelu, została w ostatnich dniach oblężenia całkowicie unieruchomiona, skutkiem rozbicia kotłowni, hali maszyn i rozdzielni.

Mosty są wpradzie podziurawione jak sito, ale bomby przebijały jezdnię i wybuchały w wodzie, dzięki czemu właściwie ruch na mostach ani na chwilę nie został przerwany. Po zajęciu Warszawy przez Niemców uszkodzenia załatano w ciągu dosłownie paru dni.

Kluby wioślarskie na Wiśle nie istnieją prócz W.T.W.—obecnie klubu niemieckiego i dwuch prowizorycznych budynków również przeznaczonych wyłącznie dla Niemców. Cały tabor, jaki ocalał ze zbombardowanych klubów, został zarekwirowany dla Niemców. Polakom *nie wolno* wyjeżdżać łodziami na Wisłę, która jest zarezerwowana wyłącznie dla Niemców. Tylko na jednej, miejskiej plaży mają Polacy prawo kąpać się, poza tym mogą chodzić poza Warszawę i tam kąpać się na t.zw. dzikich plażach.

Zresztą wszystkie tereny i place sportowe w Warszawie i okolicach zostały również zarekwirowane wyłącznie dla Niemców. Sport jest bowiem przywilejem rasy panów. Dla Polaków pozostały jako jedyne sporty: bieg na przełaj przez zieloną granicę, bieg za lisem, gdzie rolę lisa odgrywa Polak, a rolę psów gończych—Gestapo, gra w ciuciu babkę, bardzo obecnie w Polsce popularna i temu podobne gry i ćwiczenia, niewątpliwie kształcące i sprzyjające rozwojowi sprawności cielesnej i tężyzny duchowej, niestety jednak w połączeniu z częstymi głodówkami, szybko męczące ludzi, używających tych sportów.

Praga również mocno ucierpiała skutkiem bombardowania. Saska Kępa, Aleja Waszyngtona, Grochowska—obecnie nazywające się *Ostend Strasse*, Gocławek i t.d. przedstawiają żałosny obraz ruin i sterczących szkieletów zniszczonych domów i fabryk. Na przykład fabryka "Pocisk" na Pradze została całkowicie zniszczona już po zajęciu Warszawy: maszyny Niemcy sprzedali na boku, lub wywieźli na złom do Niemiec, ogrodzenia i budynki rozebrano, a na placu stawiane są obecnie śpichrze zbożowe.

Jest charakterystyczne, że Niemcy nie uruchamiają w Polsce fabryk karabinów i broni krótkiej, ani amunicji do nich, bo te łatwiej mogłyby być opanowane i użyte przeciw nim. Pracują tylko fabryki armat, czołgów, płatowców i silników ciągników wojskowych, pocisków armatnich i t.p. cięższych wyrobów wojennego przemysłu.

Warunki pracy w fabrykach prywatnych nie są ani łatwe, ani miłe. Praca idzie z dnia na dzień. Dzień przeżyty bez aresztowań i rekwizycji jest dniem wyjątkowym. Labirynty formalistyki i stosy przepisów uniemożliwiają jakąkolwiek racjonalną i planową produkcję. Wszelka kalkulacja bierze w łeb wobec stałych zahamowań w pracy, zabierania maszyn, robotników, rekwizycji surowców i t.p. a mimo to trzeba trwać na posterunku, trzeba pilnować swoich warsztatów i trzeba ratować pracowników i ich rodziny od śmierci głodowej i gorszego jeszcze od nędzy—wywiezienia do Niemiec.

Dzień przy robocie szybko mija. Umysł odrywa się od codziennych zmartwień i trosk. Praca ratuje nielicznych szczęśliwców, którzy ją zdobyli od demoralizującego wpływu przymusowej bezczynności, skutkiem której tylu dzielnych i wartościowych ludzi doszło do stanu zupełnego nerwowego wyczerpania, osłabiającego ich odporność na stały, szarpiący nerwy ucisk zaborcy i na zaglądającą tylu ludziom w oczy—nędzę.

W przerwie obiadowej siadamy do popularnego dziś w Polsce "Eintopfgericht"—zupy z kaszy lub z kartofli, w lecie ze świeżych jarzyn, czasem z kawałeczkiem mięsa, bo stołówki oparte o spółdzielnie robotnicze są uprzywilejowane pod względem aprowizacji. Robotnicy, inżynierowie, dyrekcja i personel biurowy—wszyscy siedzą razem przy wspólnych stołach. Dla wielu z nich posiłek otrzymywany w fabryce jest jedynym posiłkiem w ciągu dnia. Ale prócz pracujących, jeszcze około 200 osób korzysta ze stołówki i t. zw. "deputatów" spółdzielnianych, tj. z tanich przydziałów produktów żywnościowych. To rodziny pracowników, którzy zginęli lub są w niewoli albo zagranicą.

Trzeba przyznać, że nastąpił w kraju ogromny wzrost uspołecznienia. Samopomoc jest niezmiernie rozwinięta i gdyby nie ten radosny objaw—nędza byłaby jeszcze bardziej jaskrawa.

Około 5-ej popołudniu wracamy z roboty do domu. Po drodze dowiadujemy się ostatnich wiadomości radiowych. Wiadomości rozchodzą się piorunem, radują albo smucą. Najlepsze te, które mówią nam o naszym wojsku, o sukcesach R.A.F., a niepowodzeniach niemieckiej ofensywy na Anglię, o zaczynających się tu i ówdzie pokazywać rysach na ciele niemieckiego kolosa.

W domu może będzie nas czekał list od kogoś kochanego? Z obozu jeńców wojennych, może z zagranicy? A może—sucha, straszna kartka, drukowana z obozu koncentracyjnego z bezlitosnymi słowami: "Taki to a taki—umarł. Po wpłaceniu 500 mk., ciało będzie spalone a prochy przesłane rodzinie!"

Dziś się gazet nie kupuje. Takie było polecenie. To jedyne nasze "milczące manifestacje," na jakie możemy sobie jeszcze bezkarnie pozwolić.

Zmierzch już wcześniej zapada, bo przy tym niebo jest stale chmurami zasnute. Trzeba korzystać z paru godzin dnia, załatwić parę spraw, odwiedzić parę osób. W zimie zostawało tylko dwie godziny czasu, bo już od 7-ej wieczorem nie wolno było wychodzić na ulicę. W lecie godzina policyjna przesunięta była do 10-ej według czasu letniego, co odpowiadało normalnej godzinie 9-ej. Rano wychodzić wolno było od 5-ej.

Ale po południu, kto nie musi wychodzić, niech najlepiej siedzi w domu. Łażenie po mieście, albo siedzenie w kawiarni co raz częściej się kończy—siedzeniem w więzieniu lub w obozie. Obławy bowiem i "łapanki" najczęściej odbywane są w kawiarniach, choć ostatnio zaczęły przybierać formę masowych aresztowań ulicznych w miastach i miasteczkach. Mężczyźni wyciągani są z tramwajów, sklepów i t.p. lokali, spędzani do punktów koncentracyjnych—i wysyłani do Niemiec. Większość z nich, zwłaszcza inteligencja, trafia do obozów koncentracyjnych, gdzie wielu szybko—ginie w torturach.

Zmierzch zapada nad miastem. Miastem ruin, miastem bohaterów. Bohaterów cichych, bezimiennych—kobiet i dzieci walczących butelkami z benzyną przeciw czołgom niemieckim, rodziców walczących o swoje dzieci, wydzierane im przemocą z rąk przez niemieckich katów, o swoje córki, bezczeszczone przez plugawych zbrodniarzy, Polaków, ratujących dorobek społeczny i kulturalny kraju przed całkowitym zniszczeniem przez dzikich barbarzyńców.

Wracają gromady spracowanych ludzi z Pola Mokotowskiego, Saskiej Kępy i setek innych ogrodów warzywnych, gdzie mogli się trochę oderwać od bezczynności, pracując nad uprawą kawałka ziemi, zasadzonego warzywami i kartoflami, dzięki czemu mogą się jako tako przeżywić. Zbliża się zima, nowa udręka a z nią—widmo głodu i zimna.

Gasną światła. Po mieście snują się patrole policji. Czasem rozlega się strzelanie, słychać krótki i urywany krzyk—to nowa ofiara Gestapo, zamordowana przez bezlitosnych siepaczy.

Czy noc dzisiejsza przyniesie nam ukojenie, odpoczynek i zapomnienie strasznej męczącej rzeczywistości dnia codziennego? Za każdymi drzwiami czai się widmo. Czyha śmierć w szarym mundurze z zielonym kołnierzem, z trupią czaszką i piszczelami na sztywnej, pruskiej czapce. Czy dziś nas jeszcze ominie?

Józef Junosza



Artur Horowicz: W Polsce

Z kampanii francuskiej

Wytrzymujemy natarcie

III*

Nasze czołgi ponownie wyjeżdżają do natarcia. Atak znowu prowadzi dzielny "pancerniak," kpr. S. Podjeżdża bliziutko pod nieprzyjaciela, zatrzymuje się, strzela. To już prawie walka na białą broń. Niemcy znowu wycofują się do lasu. Na przedpolu zostawiają wszystkie swoje trzy samochody pancerne. "Dobra robota"—mówi mój towarzysz P. Z prawdziwym podziwem patrzę na tego chłopca. Ciągle opanowany, lekko rozgrzany walką szybko ładuje i zakłada mi magazynki. Prosty wiejski chłopak, ale doskonale zdaje sobie sprawę z roli jaką tu spełnia i ma dumę narodową.

Z kolei zjeżdżają z pola nasze czołgi, jeden lekko uszkodzony. Zaczyna się piekło. Lawina żelaza wali się na nasze stanowiska już z trzech stron. Naprzeciw i na lewo mamy czołgi i piechotę niemiecką, na prawo motocyklistów. Tryskają kawałki asfaltu z szosy a ziemia wyrwana z naszego wału ochronnego zasypuje oczy.

Ładuję, strzelam i kopię łopatką na przemian. Zatracam poczucie czasu i przestrzeni, jedno tylko pamiętam: muszę tu zostać. Przemożny instynkt życia buntuje się, uciec za wszelką cenę z tego okropnego miejsca. Nerwy napięte od szeregu godzin do ostatnich granic zdają się być u kresu wytrzymałości. Staram się wtłoczyć w siebie argumenty logiczne, że przecież dobrowolnie z Polski tu przyszedłem, by walczyć, że zrezygnowałem z podchorążówki w Serignian, aby iść na front, że lepsza śmierć, niż ta wegetacja w koszarowych warunkach na tyłach, tak strasznie ciężko przeżywana przeze mnie dotychczas wolnego człowieka, zupełnie niezależnego. Ostatnim wysiłkiem woli opanowuję się, jestem znowu spokojny. Zapalam papierosa. Patrzę na zmiętą, jakby zszarzałą twarz P. Przeżywa tę samą walkę wewnętrzną, jaką ja przebyłem przed chwilą. "Zginiemy tutaj" powiada cichym głosem, ładując do magazynku ze swej prawie pustej torby resztki amunicji. Z ust jego płyną słowa modlitwy, najpiękniejszej modlitwy świata: "Ojcze nasz, któryś jest w niebie święć się Imię Twoje." Nie, ten człowiek nie zejdzie ze stanowiska.

Z lewej strony nie widzę już plut. J., z prawej nie słyszę już od dawna rkm. Zw. Nie wiem, czy nie żyją, czy wycofali się. Wzrok mój pada na zapięty na ręce zegarek. Nie do uwierzenia, już godzina 5-a popołudniu. Sześć godzin w takim ogniu i jeszcze żyjemy.

Wtem czuję jakieś tępe uderzenie w głowę i równocześnie prawie słyszę głos Jar.z rowu "rozkaz porucznika, wycofać się za wzgórze." Jestem zmęczony strasznie i jakby pijany. Ściągam rkm. ze stanowiska, zsuwam się do rowu, za mną zeskakuje P. Mimo nawoływań "małego," abym pochylił się i szedł prędzej, wlokę się rowem wyprostowany. Nie mam sił. Jeszcze 30, jeszcze 20, jeszcze 10 metrów i już jesteśmy po drugiej stronie górki, poza polem obstrzału nieprzyjacielskiej broni maszynowej.

Porucznik jak zwykle uśmiechnięty zapytuje, gdzie mam hełm. Macam się zdziwiony pytaniem po głowie—istotnie nie mam hełmu, została tylko skórzana obsadka, łącznie z podpinką, silnie zapiętą pod brodą. "Zwiało mu, nawet nie czuł"—mówi mój towarzysz P.

"Zająć stanowiska w zabudowaniach na lewo"—rozkazuje porucznik. Idziemy—dołącza do nas podchorąży B. Widząc, że słaniam się na nogach ze zmęczenia i oszołomienia, bierze mój rkm. i wręcza swój lekki kawaleryjski karabinek. Odchodząc, widzę jak porucznik bierze do ręki rkm. kpr. Z i wraz z nim i uł.Szcz./b.adwokat/ posuwa się w kierunku czołgów wroga. Z daleka widzę ich sylwetki. Już są 150-już 100 m.od czołgów wroga chciałbym krzyknąć—co robisz szalony człowieku? — toż to pewna śmierć. Zapadają w trawę, nie widzę ich już więcej, tylko przytłumiony terkot ich maszynki wskazuje, że jeszcze żyją, jeszcze walczą.

Zajmujemy nasze nowe stanowiska. Tutaj jest spokojniej, znajdujemy się jedynie pod obstrzałem jednego czołgu i drobnego oddziału piechoty niemieckiej, który został spostrzeżony przez uł. Gr., jak posuwając się za stadem pędzonych przed sobą krów usiłował nas otoczyć. Naszym obecnym zadaniem jest niedopuszczenie do tego. Zasłonięci murowanym ogrodzeniem zabudowań, strzelamy do nich, jak do zająców. Podchor.B spokojnie wali serię za serią z mojego rkm.Po broni maszynowej z moim karabinkiem czuję się prawie bezbronny. Tylko od czasu do czasu, gdy widzę wyraźniej "feldgrau" mundur niemiecki—strzelam.

Czas upływa, czerwona kula słoneczna chowa się za lasem. Nie słyszę już strzałów naszych rkm., nie widzę innych naszych stanowisk. Tylko ogień npla nie słabnie—Co się stało?

P.z polecenia podchorążego biegnie do miejsca postoju naszych motorów. Wraca blady —motorów nie ma, czołgów naszych nie ma, w miasteczku ani żywego ducha. Wtem s ł y s z ę charakterystyczne szczekanie nieprzyjacielskiego ckm. od strony szosy prowadzącej do Morenil en Bre. Jesteśmy otoczeni. Wypadamy na główną szosę, przecinającą Champaubert, ustawiamy rkm. na progu jakiegoś domu, pozostaje nam walczyć tutaj do końca.

Niszczę posiadane przy sobie dokumenty, zapiski i korespondencję, chowaną dotychczas jak relikwie. Czekamy. Słyszę warkot zbliżającego się motoru. Z zakrętu wypada motocykl, silniej przyciągam kolbę rkm., już mam nacisnąć język spustowy. Jezus, Maria! Nasz.

Zazgrzytały hamulce. Zapiszczały opony na gładkim asfalcie i przed nami zatrzymuje się "Maciuś." Z pod zbyt wielkiego hełmu wyglądają tylko niebieskie oczy i uśmiechnięta jak zwykle buzia. Kilka bezładnych gorączkowych słów i okazało się, że pchor. H. nie wytrzymał nerwowo i sądząc prawdopodobnie, że dowódca i reszta plutonu wybita, wycofał się z pozostałymi o 3 km.do tyłu. Maciuś zaś wbrew rozkazowi, po drodze ostrzelany przez nieprzyjaciela, wrócił po nas. Te strzały, które ostatnio słyszałem to były do niego. Dobry, niezawodny kolega.

Jeszcze nie zdążyliśmy dobrze usadowić się na motorze z przyczepką, gdy nadjechał porucznik, który wróciwszy z akcji inną drogą i dowiedziawszy się od pchor. H. o stanie sprawy również po nas przyjechał. Porucznik wyraźnie ucieszony na nasz widok, wskazuje kierunek jazdy i zawraca. Maciuś rozpędza maszynę. Patrzę na tachtometr 80-100-120. Szalona jazda. Za nami wyskakują drobne wiązki kurzu od pocisków. Pochylamy się, jeszcze jeden, drugi zakręt i jesteśmy bezpieczni.

Jest już 8-a wieczorem. Pluton wita nas, jak wracających z tamtego świata. Ciągle pytają, czy jesteśmy ranni. Porucznik gratuluje nam "dobrej roboty" i oświadcza, że przedstawi mnie i Maciusia do odznaczenia. Dziękuję bez głębszego przekonania. Nie wierzę, żeby ktokolwiek z nas przeżył kilka najbliższych dni, jesteśmy prawie zupełnie otoczeni i już po pierwszej walce mamy blizko 20% strat. Poza tym przykro mi, że i innych naszych dzielnych chłopców nie spotkało to wyróżnienie. Ogarnia mnie jednak jakiś błogi nastrój zadowolenia, że ten okres dotychczasowej poniewierki nie poszedł na marne, że bodaj częściowo uregulowałem swoje porachunki z Niemcami. Cieszę się, że znalazłem u siebie tyle moralnej siły, aby spełnić swoje ciężkie zadanie i że nawet tak mały oddziałek "Czarnej Brygady" zdołał pokazać wrogom swój "lwi pazur."

Oparty o drzewo odpoczywam. Nie jestem nawet głodny mimo, że od godz. 9 rano nic nie miałem w ustach. Spragnionymi, zaschniętymi gorączką wargami piję podaną mi przez któregoś z kolegów szklankę wina. Serce zmęczone ślęczeniem przez przeszło piętnaście lat nad skryptami uniwersyteckimi, czy nad aktami w biurze, z którym zdołałem się prześlizgnąć przez liberalną komisję wojskowo-lekarską trochę nawala.

Pragnę chwili spokoju. Gdzie tam, nalot. Trzydzieści bombowców zaczyna swe harce nad naszymi głowami. Z przysłowiową niemiecką systematycznością, korzystając z bezkarności, gdyż od kilku dni samoloty alianckie w ogóle się nie pokazują, siadają wprost na koronach drzew, zdaje się, że krok za krokiem spuszczają "walizki" na zajęty przez nas las. Detonacje zlewają się z hukiem walących się drzew. Nie strzelamy, aby nie zdradzić naszych stanowisk.

Na szczęście gwałtownie zapadający zmrok i deszcz przerywa ich robotę. Odlatują. Gwizdek dowódcy zbiera rozproszoną gromadkę. Strat nie ma. Szybko uzupełniamy torby amunicyjne, przecieramy sczerniałe od prochu lufy, kierowcy zaś kontrolują motory i po zostawieniu zamaskowanych motorów wraz z wartą na miejscu, na rozkaz dowódcy marszem ubezpieczonym posuwamy się powoli szosą, gdzie? nie do wiary, z powrotem do Champaubert. Uparty człowiek ten nasz porucznik.

Zamiast spodziewanego ognia npla, wita nas tam przyjaźnie machając ogonem-nasz przyjaciel już od rana, niezbyt czystej rasy jamniczek, obecnie jedyny mieszkaniec tej miejscowości. Niemców ani śladu, widocznie obawiając się zasadzki, nie zajęli miasteczka. Na rozkaz porucznika w chwilę później podjeżdżają nasze motory. Czujki rozstawione. Nieskomplikowany posiłek żołnierski —chleb, konserwy, wino.

Siedząc oparty o barykadę zapadam w półsen. Budzi mnie porucznik. Deszcz ustał, księżyc jasno świeci — godzina 12.15. Motory już warczą—wsiadamy-ruszamy—rozpoznajemy dalej.

Tadeusz Prus-Bugayski

* Por. "Jedziemy na front" nr. 1 i "W akcji" nr. 2 "Polski Walczącej" z b.r.

W złotej klatce

(Trochę wrażeń z odwiedzin II-ej dywizji)

Podczas mego pobytu we Francji otrzymałem od Ignacego Paderewskiego zaproszenie do Szwajcarii. Decydowała się wtedy sprawa wyjazdu naszego sędziwego patrioty do Ameryki. Gdy opinia lekarzy wypadła pomyślnie i gdy zapewnili, że zdrowiu Paderewskiego nie grozi niebezpieczeństwo w tej uciążliwej podróży, gorąco poparłem myśl wyjazdu. Zdawałem sobie sprawę, jak wielkie znaczenie będzie miała obecność Paderewskiego w Stanach Zjednoczonych nie tylko dla Polski, ale i dla sojuszniczki naszej—Wielkiej Brytanii. Wpływu Paderewskiego na opinię publiczną w Ameryce nie zastąpi nawet najbardziej udany ambasador.

Z okazji pobytu w Szwajcarii, postanowiłem odwiedzić naszą drugą dywizję, która po zaciętych walkach z Niemcami przekroczyła z bardzo małymi stratami granicę szwajcarską. Cofając się, dywizja polska musiała nieraz przełamywać opór i trudności, czynione jej ze strony oddziałów francuskich, które żądały od naszego dowództwa zaprzestania walki z Niemcami i poddania się. W rezultacie dywizja nasza weszła do Szwajcarii dozbrojona i kompletnie zmotoryzowana, gdyż po drodze zabierała dobrowolnie rozbrajającym się Francuzom co najlepszy sprzęt bojowy.

Już na wstępie dywizja polska ujęła sobie Szwajcarów. Pierwszą czynnością naszych żołnierzy po przekroczeniu wczesnym rankiem granicy francusko-szwajcarskiej było—nakarmienie i oczyszczenie koni. Niewyspani, głodni i znużeni ciężkimi walkami i przeprawą przez kraj górzysty, nasi żołnierze najpierw pomyśleli o swych wiernych towarzyszach. Prasa szwajcarska podkreśliła ten szczegół, dając wyraz jednocześnie swego wielkiego współczucia dla tragedii Polski oraz sympatii dla niej. Przed żołnierzem polskim otworzyły się serca humanitarnych Szwajcarów. Oddziały dywizji zostały rozmieszczone w kantonie Berneńskim, pomiędzy Bernem a Kanderstegiem, przeważnie w miejscowościach turystycznych. Udałem się wspólnie z ministrem Ładosiem, posłem R.P. w Szwajcarii, na zwiedzanie obozów. Byłem w 19-u obozach, a w każdym z nich znajduje się od czterystu do tysiąca oficerów i żołnierzy. Razem ich jest około 15 tysięcy, w tym tysiąc z pierwszej dywizji. W każdym z obozów rzecz prosta musiałem przemawiać, szczególnie interesowała moich słuchaczów sytuacja naszych rodaków we Francji, gdzie wielu z nich posiadało swe rodziny.

Ze względów zrozumiałych jestem zmuszony szereg rzeczy w tym opisie pominąć. Mogę jednak stwierdzić, że traktowanie naszych żołnierzy ze strony Szwajcarów jest jak najlepsze. Stosunek pomiędzy naszym wojskiem a miejscową ludnością ułożył się mniej więcej tak jak w Szkocji. Widziałem wzruszające dowody tej serdeczności.

Żołnierze zazwyczaj zamieszkują kasyna, domy turystyczne, oficerowie zajmują pokoje w hotelach. Jadałem ze wspólnego kotła z żołnierzami i w kasynach oficerskich. Pożywienie zdrowe, smaczne, w ilości dostatecznej. Żołnierze mówili mi, że znacznie lepsze, aniżeli mieli we Francji. Pościel na łóżkach i pryczach czysta, pomieszczenia ogrzewane. W jednym z obozów, liczącym około tysiąca żołnierzy zauważyłem na łóżkach duże poduszki z haftowanemi powłoczkami. Poinformowano mnie, że każdy żołnierz ma swą chrzestną matkę, które zaopatrzyły ich w poduszki i bieliznę.

O stosunku społeczeństwa szwajcarskiego do naszej dywizji mówi też za siebie szczegół, który mi opowiedział oficer szwajcarski, towarzyszący mi w podróży po obozach. Ludność jednego z kantonów romańskich, gdzie znajdują się internowani żołnierze armii francuskiej, zwróciła się z prośbą do władz wojskowych, aby uwolniono ją od niesfornych i zdemoralizowanych Francuzów i aby na ich miejsce przysłano Polaków!

Mimo tej sielanki i bezstroskiego żywota mogę zapewnić, że każdy prawie oficer i żołnierz od razu porzuciłby to wszystko i udałby się na front walki, gdyby tylko mógł. I na ten temat ze mną przede wszystkiem mówili. Jakżeż zazdrościli swym kolegom w Anglii!

Jedyną prawie bolączką naszych rodaków internowanych w Szwajcarii jest—przymusowa bezczynność. Po przekroczeniu granicy musieli złożyć broń i nie mogą odbywać ćwiczeń wojskowych. Wprawdzie dowództwo robi wszystkie starania, aby zatrudnić oficerów i żołnierzy, ale plan zajęć nie może wypełnić im wolnego czasu. Utworzono kursy dokształcające, zawodowe, odbywają się wykłady z szeregu dziedzin wiedzy dla maturzystów i studentów, potworzono różne warsztaty pracy. Codziennie odbywają się ćwiczenia i gry sportowe, powstały doskonałe zespoły śpiewacze, teatralne.

Ale cóż, trudno tym wszystkim zaabsorbować żołnierza, zwłaszcza, gdy ciągle świdruje w jego mózgu myśl, że koledzy jego walczą, a z kraju dochodzą tragiczne wieści. Pięści się same zaciskają, krew zalewa człowieka, dyszy żądzą odwetu, a tu każą mu spokojnie siedzieć, pić mleko, mięso jeść na obiad i kolację, gdy w kraju lub na dalekiej Syberii bracia i siostry z głodu przymierają.

Słuchając tych wszystkich słusznych skarg i żalów, pocieszałem rodaków, jak mogłem. Wewnątrz jednak odczuwałem wielką radość i dumę, że chłopcy nasi nie rozleniwieli w sielankowej niewoli i nie stracili animuszu wojennego, że żyją wiarą w zwycięstwo naszej sprawy, za którą gotowi są nadal krew przelewać.

A teraz słówko o dowódcy dywizji, generale Ketlingu-Prugarze. Początkowo przebywał on w pewnym oddaleniu od dywizji—w Kanderstegu, ale następnie władze szwajcarskie wyznaczyły mu miejsce zamieszkania w centrum naszych oddziałów. Generał Prugar zawsze korzystnie wyróżniał się wśród korpusu oficerskiego. Inteligentny o silnej, zdecydowanej woli, odważny a przy tym bardzo skromny. Znany był zawsze ze swego serdecznego stosunku do towarzyszów broni. Dziś ten stosunek jeszcze bardziej się pogłębił, jest on wszystkiem dla żołnierzy.

Na zakończenie muszę dodać, że na stosunku władz szwajcarskich do naszej dywizji zaważył nie mało autorytet Ignacego Paderewskiego, który stale interesował się naszymi oficerami i żołnierzami i wiele użyczył swej cennej pomocy dywizji i jej dowódcy.

X. Zygmunt Kaczyński

Akt solidarności

Przed kilkoma dniami "Dziennik Polski" ogłosił pełny tekst listu generała Sikorskiego do premiera Churchilla oraz dwie odpowiedzi: Jego i Lorda Mayora Londynu. Ta wymiana korespondencji powstała w związku z samorzutną inicjatywą składki wśród żołnierzy Armii Polskiej i polskiej emigracji cywilnej na odbudowanie Guildhallu—wspaniałego, historycznego ratusza londyńskiego, który spłonął w czasie jednego z ostatnich masowych, barbarzyńskich nalotów niemieckich na Londyn. Motywy uczuciowe tej inicjatywy Naczelny Wódz tak określił w swoim piśmie do premiera Wielkiej Brytanii:

"*Pragnę powiedzieć Panu, że gdy doszła mnie wiadomość o zniszczeniu Guildhall'u, my, Polacy—którym zniszczono tak wiele zabytków historycznych stanowiących część narodowego dziedzictwa—postanowiliśmy zebrać między sobą skromną składkę, ażeby wyrazić nie tylko nasze głębokie uczucie dla obywateli Wielkiej Brytanii, ale również nasz stały już pełen zachwytu podziw dla odważnej i dzielnej ludności Londynu.*"

Winston Churchill dał wyraz temu jak odruch polski został przyjęty przez Anglików:

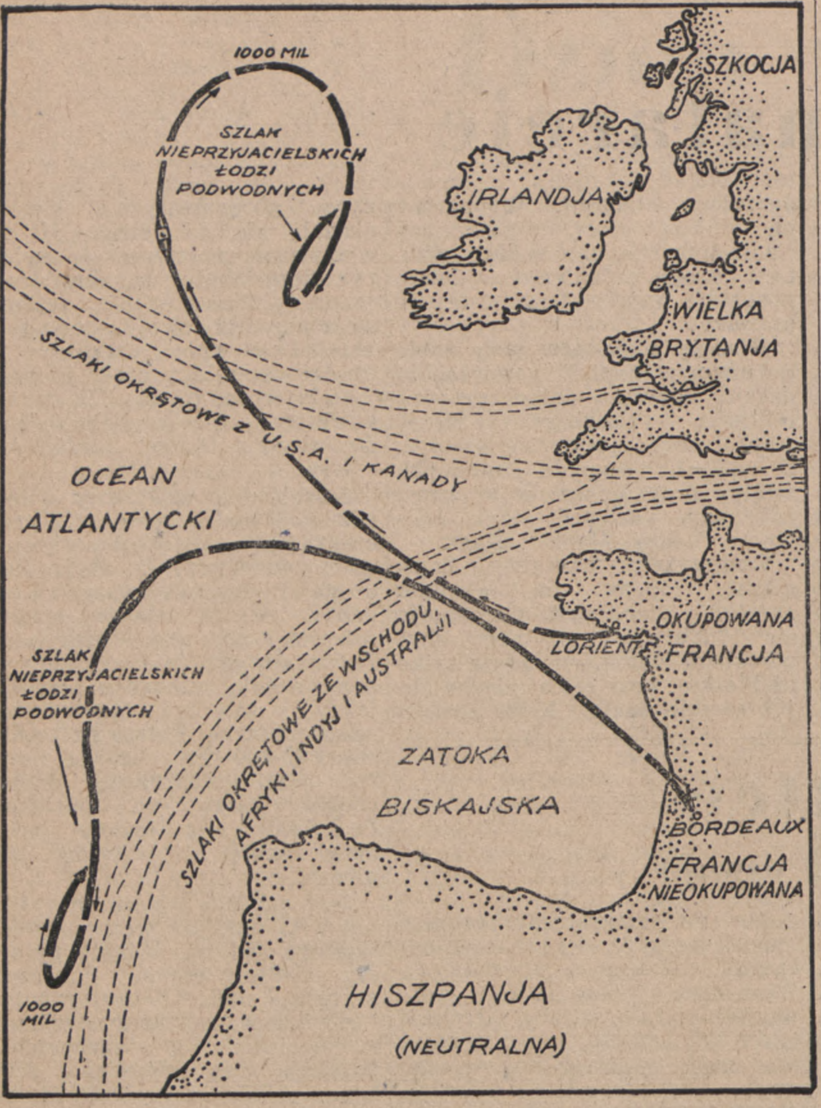
"*Ten wzruszający czyn poruszy wszystkie serca stolicy i Imperium. Widzimy w nim symbol przyjaźni wielkiego Polskiego Narodu, którego ogniska domowe zostały zniszczone, zabytki zburzone, lecz którego duch wolności nigdy nie ulegnie zniszczeniu, jak cegła i kamień.*"

W tych dwu zdaniach przywódców dwu walczących narodów dokonał się i wyraził akt solidarności, wspólnoty uczuciowej, ważnej na dziś i równie ważnej na jutro: na dzień dzisiejszy, w którym wspólnie prowadzimy walkę, na dzień jutrzejszy, w którym wspólnie będziemy odbudowywać Polskę i Anglię.

Ten symboliczny akt solidarności polsko-brytyjskiej powinien objąć jak najszersze kręgi. Każde serce polskie trwające tu, walczące i tęskniące do chwili, kiedy walkę zastąpi budowanie nowego, lepszego życia—winno dołączyć się do tego aktu. Składki (zbiorowe lub indywidualne) należy przesyłać pod adresem Ministra Skarbu p. Henryka Strasburgera Londyn, Stratton House, Picadilly.

Redakcja "Polski Walczącej" przesłała na ręce p. Ministra Skarbu sumę 2£.

Wojna na morzu



Nasze pojęcia na wskroś lądowe z trudnością naginały się początkowo do morskiej rzeczywistości, dopiero fakty .dyktowane czynami przez wielką Flotę Brytanii i przez naszą małą a jakże wartościową i cenną Marynarkę Wojenną wielu Polakom otworzyły oczy. Nie mniej jednak istnieje wśrod nas wiele zakorzenionych a nie wiadomo skąd powstałych legend i uprzedzeń, które są wręcz szkodliwe i które nie mają nic wspólnego z prawdą.

Niedawno w. jednym z hoteli podczas obiadu słyszałem, jak paru Polaków rozmawiało przy sąsiednim stoliku na temat straty krążownika, "Southampton" /9,100 ton/ w zeszłym tygodniu, straty niewątpliwie bolesnej dla Wielkiej Brytanii, ale wobec ogromu jej potęgi morskiej bynajmniej nie uszczuplającej siły floty bojowej. Tymczasem od stolika dobiegały moich uszu cyfry zgoła fantastyczne, porównania kosztów strat na morzu i w powietrzu aż zabawne w swojej ignorancji, tym bardziej, że wygłaszali to ludzie w innych sprawach, czysto lądowych bardzo dobrze poinformowani. Według nich "Southampton" był "olbrzymem", którego strata jest "niepowetowana" i którego siła ognia nie wiele była mniejsza od. . . "Lorda Nelsona" /dosłownie!/

Tymczasem wystarczy wziąć do ręki pierwszą lepszą książkę angielską dla młodzieży o flocie Wielkiej Brytanii /jakich jest bardzo wiele/, by wyczytać: "Krążownik "Southampton" 9,100 ton, 32 węzły szybkości, 12 dział 152 mm. i 8 dział 102 mm. Wielka Brytania posiada tej samej klasy jeszcze 9 krążowników: "Birmingham," "Glasgow," "Gloucester," "Newcastle," "Sheffield," "Liverpool," "Manchester," "Belfast," "Edinbourgh."

W tej samej książeczce dla dorastających chłopców w pierwszym rozdziale czytamy: ". . . najpotężniejsze dotychczas pancerniki świata "Lord Nelson" i "Lord Rodney" 34,000 tonn, pancerz boczny 355 mm., wieże 406 mm., pomosty 225 mm. . Uzbrojenie 9 dział 406 mm., 12 dział 152 mm., 6 dział przeciwlotniczych 120 mm., 2 wyrzutnie torpedowe i 1 samolot."

Z zestawienia tych danych widzimy, że porównanie jednego okrętu z drugim dowodzi kompletnej nieznajomości przedmiotu, że jeden okręt służy innym celom taktycznym a drugi innym, że strata jednego jest zupełnie nieproporcjonalna do straty/ nie daj Boże/ drugiego. O tych sprawach w Wielkiej Brytanii wie już dokładnie każdy dziewięcio-letni chłopak. Wśród Polonii dobrze było by, aby orientował się chociaż każdy . . . dorosły a przynajmniej wśród sfer wojskowych.

Tymczasem podczas jednego z moich odczytów, gdy mówiłem o miarach szybkości, używanych na morzu i tłomaczyłem, że węzeł jest odległością pomnożoną przez czas a więc miarą szybkości i nie należy mówić " węzeł na godzinę" /masło maślane/, lecz "z szybkością x węzłów" lub, z szybkością x mil na godzinę" ktoś z obecnych zaprotestował i przez cały czas odczytu manifestował swoje niezadowolenie z "ignorancji prelegenta" /fakt!/

Dla tego wznowienie działu morskiego w "Polsce Walczącej" jest bardzo potrzebne, bo na tle naszej upartej lądowej nieświadomości spraw morskich istnieje jednak powszechne już zrozumienie prawdy, której na szczęście nie trzeba już udawadniać, że walka na morzu, że zagadnienia morskie są decydujące w obecnej wojnie, że od tego co się dzieje na morzach świata zależy zwycięstwo, a więc i nasza polska sprawa, że wkład, który do zmagań na morzu daje nasza Marynarka Wojenna i nasza Flota Handlowa poważnie zaciąży na naszej przyszłości, że olbrzymi procent szacunku i zrozumienia, które zdobyliśmy u morskiego narodu Brytyjczyków zawdzięczamy temu, iż nasza Flota Wojenna walczyła i walczy po męsku i bohatersko, że nasze statki handlowe nie ustają w niebezpiecznej służbie, nie ustępując w brawurze i determinacji Brytyjskiej Marynarce Handlowej, której symbolem na długo będzie wspaniały czyn "Jervis Bay." / Krążownik pomocniczy "Jervis Bay" t.j. statek handlowy uzbrojony tylko w działa przeciwstawił się sam jeden potężnemu pancernikowi niemieckiemu klasy "Deutschland," gdy ten zaatakował ze swych 280 mm. dział konwój angielski. "Jervis Bay" wraz ze swym bohaterskim dowódcą zatonął ściągając na siebie całą siłę ognia korsarza, ale 39 statków konwoju zdołało ujść bezpiecznie./

Jeżeli zrobimy przegląd wydarzeń na morzu w ostatnich tygodniach od Nowego Roku 1941 to dojdziemy do wniosku, że najważniejszym faktem z tego okresu jest nie bombardowanie Bardii przez Flotę Brytyjską, nie bitwa pod Sycylią, ale wiadomość, że według oficjalnego a więc bezsprzecznie sprawdzonego komunikatu Admiralicji Brytyjskiej straty w tonnażu zatapianym przez niemieckich korsarzy powietrznych, podwodnych i nadwodnych zmalały do minimum (wszystkiego 4 statki ogólnej pojemności 14.687 tonn w czasie od I. stycznia do 7 stycznia, gdy był już jeden z tygodni w grudniu 1940, gdy straty te wynosiły ponad 100.000 tonn a tonnaż zatopionych statków w ostatnim tygodniu zeszłego roku wynosił 54.328 tonn w przedostatnim 43.834 tonn).

Rozerwanie blokady niemieckiej, robionej z wielkim nakładem sił i materiału, przeprowadzanej z całą bezwzględnością teutońską słusznie prasa brytyjska nazywa "wielkim osiągnięciem admiralicji," a choć ze strony urzędowej zachowywane jest bardzo powściągliwe milczenie w tej sprawie, cyfry mówią same za siebie i "osiągnięcie" to wydaje się niewątpliwe.

Jakiego zaś olbrzymiego wysiłku ze strony Flot Sprzymierzonych wymaga taki rezultat wyobrazić sobie może od razu tylko człowiek zżyty z morzem. Nieustanne dzień i noc, dzień i noc patrolowanie kontrtorpedowców, ścigaczy, krążowników lekkich i okrętów podwodnych po wzburzonym i groźnym morzu w miesiącach zimowych, walka wodnopłatowców, z mrozem, mgłą i huraganowymi wichrami, śmierć czyhająca nie tylko ze strony rozpętanego żywiołu, lecz od pływających min magnetycznych i zerwanych przez burze z kotwicy, których obecności nie sposób przewidzieć, grożąca z powietrza od rajdowców niemieckich śmiałych i podstępnych, niejednokrotnie podszywających się pod znaki i sygnały własnych płatowców, grożąca od nieprzyjacielskich okrętów podwodnych i od niemieckich łodzi torpedowych.

Ta walka żmudna i powolna, okrutna jak życie głębinowe, konsekwentna i wytrwała, prowadzona musi być z żelazną stanowczością i z bezwzględnością nieuznającą żadnych kompromisów i nie pozwalającą sobie na żadne "wytchnienia."

Z dumą mogę napisać, że w tych codziennych i conocnych zmaganiach, patrolach, walkach, wywiadach, rekonesansach, zwiadach i wypadach biorą nieustanny udział nasze kontrtorpedowce, nasze okręty podwodne i ścigacze. Polska bandera powiewa w dzień, polskie komendy w dzień i w nocy słyszy Morze Północne, Północny Atlantyk, Kanał La Manche, Kanał Św. Jerzego, ba nawet czasem i Morze Śródziemne!

Po rozgromieniu floty włoskiej w Taranto i w pierwszej bitwie sycylijskiej Włosi błagali Niemców o pomoc, mając odciętą drogę na Adriatyku do Albanii /ostatnio znowu zatopiono na Adriatyku dwa wielkie transportowce włoskie z wojskiem: jeden 6000 tonn a drugi 20.000/. oraz szlak śródziemnomorski do Libii. Niemcy ogłosili na cały świat, że udzielają Włochom części swojej *Luftwaffe*.

Pierwszy znak tej pomocy już widzieliśmy. Aeroplany niemieckie zaatakowały wielki konwój brytyjski, przechodzący koło Sycylii i wiozący bogaty materiał wojenny dla Grecji. O położeniu tego konwoju i jego eskorty składającej się między innymi z lotniskowca "Illoustrious," krążownika "Southampton" i kontrtorpedowca "Gallant" dowiedziały się aeroplany niemieckie z odgłosów bitwy, która rozgorzała między okrętami eskorty a kontrtorpedowcem włoskim, który zatonął mimo dzielnej obrony, jak to przyznają sami Anglicy.

Wielka ilość niemieckich bombowców nurkujących z furią zaatakowała eskortę konwoju, pomimo dużych strat kilkakrotnie ponawiając naloty, nurkując i zrzucając bomby z niewielkiej wysokości. W rezultacie 12 bombowców runęło w płomieniach do morza a aeroplany lotniskowca przepędziły ostatecznie nieprzyjaciela tak, że konwój spokojnie dotarł do miejsca przeznaczenia. "Illustrious" kilkakrotnie trafiony zdołał o własnych siłach i bezpiecznie dotrzeć do portu, "Gallant" również uszkodzony dopłynął za "Illustrious," a jedynie na krążowniku "Southampton" powstał tak gwałtowny pożar, że dowódca jego uznał uratowanie okrętu za niemożliwe i wydał rozkaz zatopienia go.

W odpowiedzi na tę napaść zaraz następnego dnia brytyjskie lotnictwo morskie zaatakowało bazę niemieckich bombowców na Sycylii Catanię z nadspodziewanym sukcesem. Lotnisko zostało zamienione na pole pełne wyrw, hangary i budynki na kupę gruzów, a przeszło 30 bombowców właśnie przygotowywanych do odlotu—spalonych lub rozbitych.

Tak więc niewątpliwie dotkliwa strata "Southampton" została z nawiązką pomszczona.

Bohdan Pawłowicz

O ANGLII I ANGLIKACH

SŁÓWKO WSTĘPU. — UCZMY SIĘ ANGIELSKIEGO. — POLSKA PRZYSZŁOŚĆ ANGIELSZCZYZNY.—CZY TEN JĘZYK JEST ŁATWY ?

Redaktor "Polski Walczącej" zaprosił mnie do stałego pisania tej oto kroniki. Zadanie to miłe i zdawało by się łatwe: niestety, tylko na pozór! Gdy namyślam się, co by pisać w tym dziale i jakie poruszać sprawy, tyle tematów ciśnie się pod pióro, że niewiadomo od czego zacząć. Dzieje Anglii—hm, to już każdy może sobie zbadać na własną rękę, wziąwszy doskonałe "*Dzieje Anglii*" A. Maurois. Znajdzie tam wiele ciekawych szczegółów także z obyczajowości angielskiej, przekona się jak narastały pewne zwyczaje tego kraju, jaką tradycja gra olbrzymią rolę w Anglii. Książka ta jest dobrym i ciekawym przewodnikiem, wstępem do zorientowania się czym była i jest Anglia.

Charakter angielski, przemiany po wojnie światowej, obyczaj angielski najnowszej doby—rzeczy te były przedmiotem pracy Romana Dyboskiego, profesora wszechnicy Jagiellońskiej, p.t. "*Anglia po wojnie.*" Książka ta zawierała wiele doskonałych spostrzeżeń o Anglii, która wyłoniła się po konflikcie światowym. Dzisiaj jest ta książka polskiego uczonego i znawcy Anglii niedostępna.

Brakuje nam zatem opracowania Anglii współczesnej, obraz kultury angielskiej, świata W. Brytanii w dobie przed nową wojną. Luki te wypełnia częściowo książka Zbigniewa Grabowskiego "*Anglia—wyspa nieznana,*" która pojawi się lada dzień, częściowo książka Bolesława Leitgebra "*Londyn,*" częściowo artykuły i szkice Floriana Sokołowa, kreślącego portrety polityków angielskich na łamach pism polskich w Londynie.

Ale oczywiście dalej jest jeszcze miejsce na polskie książki o Anglii, szkice o tym kraju. Ponieważ wydawnictwa polskie sypią się jedno po drugim, ponieważ nie ma miesiąca, ażeby nie wyszły ze dwie polskie książki, miejmy nadzieję, że nasi pisarze zabiorą się do nakarmienia głodnych i będą ogłaszać rzeczy o Anglii współczesnej.

* * *

Ten poważny wstęp konieczny był, ażeby przedstawić, jakie rzeczy warto poznać, jakie rzeczy są chwilowo na rynku. Mówiliśmy oczywiście o opracowaniach polskich. Ci, co opanowali język angielski tak, że potrafią już w nim czytać, nie potrzebują moich rad. Dla nich otwiera się przebogata literatura angielska. W każdym dziale książek bez liku, pism i czasopism, ile dusza zapragnie. Ci będą mieli raczej kłopot z wybieraniem!

Życzyć by sobie należało, ażeby ilość tych, którzy mają dostęp do tej krainy, rosła szybko. Wojsko nasze winno wykorzystać w pełni swoją gościnę na ziemi angielskiej: nauczyć się dziejów Anglii, poznać jak pracuje maszyna imperialna, jak budowano pracowicie rozmaite instytucje tego kraju, jak rodziła się tutaj kultura polityczna, czego nam tak bardzo potrzeba (i będzie jeszcze bardziej potrzeba!). Trzeba nauczyć się języka angielskiego, języka pełną gębą światowego—nikomu to napewno nie zaszkodzi.

Właśnie od tego języka chcieliśmy zacząć naszą pogadankę. Opowiada się wiele o naszych zdolnościach językowych. Aliści gdy przychodzi co do czego, niewielu mamy ludzi znających obce języki. Raz po raz oglądamy przykre widowiska i popisy, które dowodzą, że dobra znajomość obcego języka jest u nas właściwie rzadka. W naszej dyplomacji i wśród wojskowości nie zbyt to dobrze się przedstawiało. Uprzytomnijmy sobie, że nieprzyjacielscy lotnicy, którzy zestrzeliwani są nad Anglią, mówią niemal bez wyjątku dobrą angielszczyzną. Musimy uznać, że u nas nie wiele zrobiło się w tym względzie, ażeby wojskowi i cywile porówno poznali obce języki. . . .

* * *

Przez czas jakiś, a było to po tamtej wojnie, nauka angielskiego należała do "modnych." Różne YMKI i tzw. kwakrzy czy metodyści otwierali szkoły, kursy; spełniali dobrą robotę. Potem jednak ta "moda" minęła. Znajomość angielskiego spadała szybko. Dzisiaj stawka ludzi znających ten język jest naprawdę niewielka.

Zabierzmy się przede wszystkim do języka. Oto klucz, który otworzy nam wiele drzwi i bram. Skoro pobyt nasz w Anglii potrwa napewno jeszcze sporo miesięcy, warto się zabrać do nauki. Odbudowana Polska będzie miała żywsze, niż kiedykolwiek stosunki z Anglią; skoro tak, to ci co znają język angielski będą mieli ogromne możliwości we wszelkich dziedzinach.

* * *

Jak to właściwie jest z tym językiem angielskim? Ponieważ wszystkie języki dzieli się na tzw. łatwe i trudne, więc zdawna ustaliło się zdanie, że język angielski jest łatwy. Nawet bardzo łatwy. Istotnie, na oko wydaje się on łatwy, prosty, nieskomplikowany. Największe trudności nastręcza jeszcze wymowa, ale i ta—tak sądzi ten, kto uczył się angielskiego poza Anglią—da się opanować.

Okazuje się jednak, że angielski nie jest najłatwiejszy. Wymowa—tak, to poważny szkopuł. Po przyjeździe do Anglii przekonujemy się, że nie wszystkie słowa wymawiamy, jak należy. Nie rozumiemy, co gorsza, co do nas mówią. Wynika to w wielkiej mierze z tego, że styczność nasza na samym początku pobytu w Anglii ogranicza się do takich osób, jak bagażowi na stacjach, taksówkarze, pokojówki w hotelach czy pensjonatach, subiekci w sklepach itd—a więc ludzie mówiący często t.zw. *slangiem* czyli *argot* względnie londyńskim *cockney'em* ("narzecze" biedniejszych warstw stolicy Anglii).

Powoli jednak ucho nasze osłuchuje się—a poznanie danego języka to w dużej mierze sprawa słuchu, muzykalności, wrażliwości na odcienie dźwięku. Zaczynamy rozumieć, że największa trudność tego męskiego, stanowczego języka, jakim jest angielski leży—w jego subtelności, odcieniach różnicach w wymowie "*a*" czy "*ee*" czy "*ea*"; ten język ma swoją melodię, swój rytm, a poza tym—opiera się na tradycji. I dlatego "*Grosvenor*" wymawia się bez "*s,*" "*Leicester*" skraca się do "*Lester,*" "*Worcester*" do "*Uuster*" itd. Trzeba znać dzieje Anglii i jej obyczaje, ażeby pojąć tajniki wymowy angielskiej.

Poza tym przekonujemy się, że należy unikać w języku angielskim przesady. Zbyt jaskrawe artykułowanie dźwięków, zbyt podniebienne charkoty, "rulowanie" itd. nie jest mile widziane w tym języku. W najlepszym razie będą nas podejrzewać o amerykanizm.

Język angielski jest prosty, ale przez to właśnie ma tak wiele tajników, tyle skrytek, niespodzianek. Posiada olbrzymie bogactwo w słowach pozornie prostych i niewinnych, w połączeniach czasowników z takiemi słowami jak *out, up, in, to* itd. Ma bogactwo w zwrotach i frazeologii.

Uczmy się angielskiego. Nie jest to łatwy język, ale bardzo ciekawy, bogaty, otwierający wspaniałe drogi. Uczmy się, bo warto!

Antoni Jawnuta

Z życia obozów

Na odcinku spadł śnieg . . .

Na odcinku spadł śnieg . . .

Już w poniedziałek 30-go grudnia przed wieczorem prószyły pierwsze delikatne, nieśmiałe płatki, które trzymały się chwilę na rękawach, na kołnierzu, na furażerce. Na ulicy—ginęły od razu. Wieczorem —w kręgu świateł latarni na dworcu kolejowym — wirował ruchliwym tumanem śnieg już bardziej zdecydowany.

Kiedyśmy 31-go grudnia rano wyszli w pole na nigdy nie kończące się roboty ziemne—wzgórza, górujące nad okolicą bielały śniegiem. Ale nasza ziemia pokryta była tylko lekkim szronem i stwardniała zaledwie na parę centymetrów. Kopało się lekko, mróz kąsał w uszy delikatnie, wiatr nie nazbyt natarczywie zaglądał za kołnierz . . .

Wkrótce jednak potym, kiedy wróciliśmy na kwatery, nagle szybkim nabiegiem brunatne chmury pokryły jeszcze przed chwilą jasne niebo i sypnęła zawieja twardej krupy. A później przed wieczorem rozszalała się długo niekończąca się śnieżyca. Plac golfowy przed oknami, pola i ferma na wzgórzu, i ulice, plaża—wszystko pokryło się grubą warstwą śniegu.

— Panowie! Skończyło się zmartwienie z "kamuflażem"!

Rzeczywiście dobry śnieg w krótkiej drodze, za jednym zamachem zamaskował wszystkie umocnienia naszej "linii Maginot'a," które z takim mozołem przykrywaliśmy darnią, dekorowaliśmy wszelakim śmieciem, maskowaliśmy w najwymyślniejszy sposób . . .

Śnieg sypał całą noc . . .

Ranek 1-go stycznia 1941 r. wstał piękny, słoneczny. Na świecie było zupełnie biało, śnieg skrzył się w słońcu.

— Patrzcie—wyrwał się ktoś— To zupełnie podobnie jak w Polsce!

Inni zgodzili się, że było podobne. Ale—jak pięść do nosa.

Trzeba było obejmować posterunek przeciwlotniczy. Szli przede wszystkim ci, co lepiej przetrzymali trudy nocy sylwestrowej, lub—po prostu spędzili ją samotnie na pustej naszej kwaterze.

Z posterunku przeciwlotniczego na wzgórzu widnokręg daleki. Widać doskonale drugi brzeg zatoki. Gdy słońce, przesłonięte jest lekko chmurami, lub o zachodzie—brzeg ten uzyskuje głęboką perspektywę licznych wzgórz. Dziś śnieg przyprószył wzgórza, wydobył liczne, niewidoczne kiedy indziej szczegóły, rzucił je na białe tło. I tylko jedna, tak charakterystyczna dla naszego krajobrazu, skała na środku zatoki i dziś sterczy dziko, samotnie, nieprzystępnie—czarna, jak zawsze, nietknięta bielą śniegu.

Dziś spacerować trzeba na posterunku bez przerwy. Choć bowiem tego mrozu nie ma wiele, jednak przez ciepłe skarpetki, sweter, rękawiczki—to i dobiera się do człowieka i napędza do ruchu . . .

Nagle przy którymś tam nawrocie spostrzegam w odległości jakichś 50 mtr. w otwartym polu, na bieli śniegu—zająca. Przykucnął i bezczelnie zagląda mi w oczy. Tak jakby rozumiał, że z karabinu maszynowego nie będę przecie na niego polować. Ale w pewnej chwili, zapewne pomyślawszy sobie, że z człowiekiem to nigdy nic nie wiadomo—skoczył do ucieczki i wielkimi susami, zatoczywszy szeroki łuk, sadził przez pole, że tylko uszy mu się trzęsły.

Za chwilę zostałem na wzgórzu sam. Sam z moimi myślami, które galopowały, jak ten mój biedny, wystraszony zając. . . .

W drodze do kasyna na obiad spotykam jednego z kolegów, calusieńkiego utytłanego w śniegu.

— Uważajcie—ostrzega mnie ze śmiechem—tam dzieciarnia zasadziła się na nas ze śnieżkami. . . .

I rzeczywiście, wyczuwam, że coś się święci. Brodem przedemną pomyka jakiś smyk i słyszę już z daleka, jak melduje komuś: "Big George idzie!"

Rozumiem, że za chwilę znajdę się pod lawiną śnieżek. Schylam się i lepię dwie piguły śniegu. Kiedy to było ostatni raz? Chyba ze dwadzieścia lat temu, gdzieś bardzo daleko na wschodzie Europy. A kiedy mijam jakąś przecznicę—z za węgła wypada na mnie cała zgraja. . . .

Na czele naturalnie Julia. Julia jest moją najwierniejszą przyjaciółką. Najwierniejszą zapewne dlatego, że ma aż—dwanaście lat. Za parę dni zaczyna chodzić do "*secondary school.*" Ma lat dwanaście, jasne włosy, niebieskie oczy, welwetową bluzkę "*girl guide,*" zapinaną na błyskawiczne zapięcie, krótką spódniczkę, gumowe buty i—gołe kolana. Gołe kolana są tu w ogóle jakimś zimowym "szykiem." Nawet dziewczęta, które dotąd chodziły w pończochach—na mróz obnażyły kolana.

Moja "*sweetheart,*" a właściwie —"*sweetest heartlet*"—miewa swoje "humory." Z reguły na tle zazdrości i wtedy bywa bardzo przykra. Julia natomiast jest dla mnie zawsze "*very nice.*" Ile razy spotka mnie na ulicy zdaleka już woła: "*Hallo Big George! How are you?*" i jeśli tylko nie jest zaprzątnięta jednym z tych licznych i rozlicznych zajęć, które są właściwe jej wiekowi—idzie za mną nieraz przez całe nasze osiedle, gwarząc wesoło.

Za Julią kroczy najczęściej Margaret—dziewczę ośm lat, o włosach koloru słomy, bez jednego zęba na przodzie. A za Margaret ciągnie nieraz całe *society young ladies* w wieku lat pięć do siedm oraz wataha brudnych i zawadiackich młodych gentlemanów, rozmiłowanych w gangsterskich wyczynach i zbrojnych w rewolwery (wyznaję ze skruchą, że jeden z nich występuje z pistoletem, który dostał na *Christmas* ode mnie!)

Tym razem całe to towarzystwo zwaliło się na mnie ze śnieżkami. Dwie moje piguły śniegu ulokowałem celnie, ale potym było tego wszystkiego na mnie za wiele i dzieciarnia odniosła zasłużone zwycięstwo.

Tymczasem przed naszą willą, po skończonej właśnie bitwie na śnieżki pomiędzy baterią 1-a 3-ą / rywalizacja jest stała—parę dni temu był mecz motocyklowy / - rozgrywała się batalia przeciwko zjednoczonym siłom całej okolicznej dzieciarni. Oblężenie zorganizowane było planowo, niczym walka o Bardię. Zmysł organizacyjny młodych Szkotów kazał mi podwozić saneczkami już gotowe, ulepione piguły śniegu. "Wytwórnia" tej amunicji pracowała gdzieś zdala, w spokojnej jakieś "Kanadzie."

Próbowałem wspierać kolegów z otwartego okna na pierwszym piętrze. Ale to trwało tylko chwilę. W następnej bowiem—pięć piguł śniegu wpadło przez okno. W pokoju i za kołnierzem zrobiło mi się mokro. Zatrzasnąłem okno. . . .

Pod wieczór zerwał się wicher, śnieg miotło niemal poziomo. Plaża zawalona śniegiem. Morze —szare, ponure, groźne, pod niską powałą chmur uparcie atakuje piasek i śnieg wysokim przypływem, każdym następnym rzutem fal wylizuje w zaspach śnieżnych nowe szare wyrwy. Kotłuje się, nabiega, cofa się i znów atakuje.

A śnieg miecie bez przerwy. Wkrótce jestem cały biały. Spotykam jakichś dwóch chłopaków. "*Snow-man*" powiada na mnie jeden, a drugi przyjrzawszy się uważnie prostuje—"nie, to tylko Big George."

Właśnie mijam posterunek obserwacyjny nad morzem. Zasypuje polskiego żołnierza zawieja śnieżna, przedmuchuje mroźny wiatr z morza.

—"Piękną, macie kolego pogodę!"

—"A no cóż, służba!"

Kilkanaście kroków dalej—miota się morze. Śnieg miecie, rosną pokłady białego puchu na furażerce, na kołnierzu, płaszczu . . .

Na odcinku pada śnieg . . .

* * *

A potem przyszły jasne, ciche, mroźne dni. I pewnego wieczoru —od dawna oczekiwane nocne ćwiczenia..

Dostaliśmy najuciążliwsze zadanie. Głębokie obejście, uderzenie z nieoczekiwanego kierunku. Brnęliśmy polami przez głęboki śnieg. Księżyc zdradziecko wydłużał nasze cienie. Patrol ofiarnie odziawszy się w prześcieradła z własnych łóżek—sunął jak widmo. Natknęliśmy się i przepłoszyliśmy jakąś placówkę. Nadzialiśmy się na jakiś karabin maszynowy. "Przyciśnięci do ziemi" jego ogniem, leżeliśmy w jakiejś bruździe, w śniegu z pół godziny. Ale narobiliśmy "nieprzyjacielowi" wielkiego zamieszania i ułatwiliśmy zadanie głównym siłom. Leżąc w śniegu słyszeliśmy odgłosy głównego natarcia. I miarowy szum morza . . .

A potem utytłani w śniegu, zziajani, maszerowaliśmy polami, roziskrzonymi w blasku księżyca do ciepłych kwater.

. . . Gorąca herbata miała smak boskiego nektaru. . . .

Big George



Odcinek nadmorski pod naszą strażą

Wigilia marynarza

Pamiętasz przyjacielu te chwile, gdy będąc dzieckiem z utęsknieniem wypatrywałeś pierwszej gwiazdki wigilijnej? Ulice ścielił biały śnieg, z pod nóg kolendników szedł jego skrzyp nieśmiały i wplatał się w chłopięcą kolendę.

Widzę, jak na jawie, w światłach świątecznej Warszawy dziecięce twarzyczki przylepione do szyb wystawowych. Rozwarte szeroko oczy przywarły do małych żołnierzyków drewnianych, zmarznięte rączęta kurczowo ściśnięte —jakby wodzową szablę trzymały.

A tam-na placu Piłsudskiego duża choinka pełna światła . . .

Wszędzie gromadzą się najbliżsi przy wigilijnym stole—tysiącem ogni rozjaśniały polskie choinki.

W domu każdym dziś się obchodzi święto przyjaźni . . .

Dziś? Tak—napewno dziś! W chwili, gdy łamiemy się opłatkiem, łamią się z nami wszyscy najbliżsi—wierzymy w to święcie —to jest treścią dzisiejszej naszej wieczerzy . . . Jesteśmy z nimi, obojętną nam przestrzeń; i czy to z Palestyny, ze Szkocji, czy mórz dalekich—spotykamy się przy polskiej choince.

O tej właśnie, wspólnej wieczerzy, myślał nasz dowódca, gdy w żołnierskim, prostym słowie dzielił się z nami życzeniami i białym opłatkiem.

Od świąt poprzednich minął rok—rok trudu i sławy naszej marynarki. W tym roku zapisały swym czynem polskie bandery księgę bohaterstwa z nad fiordów Norwegii, od brzegów Francji—aż po Bałtyk . . .

Miejsca poległych kolegów z "Orła," "Gromu" i innych jednostek zajęli młodzi marynarze. Nam sił i wiary nie brakuje i dlatego nie frazesem, lecz stwierdzeniem faktu, który zaistnieć musi—Wolna i Wielka Polska niech żyje!

Wyrwaliśmy zaborcom skrawek ojczyzny, nadludzko broniony przez załogi Westerplatte, Warszawy, Modlina . . . Powiewa nad nim polska, wojenna bandera. To nasza flota. Na tym symbolu Wolności — Okręcie Rzeczypospolitej—zajaśniała dziś choinka.

Zdawać by się mogło, że nic się nie zmieniło . . . Te same, dziecięce, pełne wiary, szerokie oczy, te same zaciśnięte mocno dłonie . . . Tylko na czole jakaś zmarszczka rozwagi i cień na twarzy dalekiego smutku . . . Kołysze ten smutek rytm fali i niesie gdzieś daleko, gdzie śnieg skrzypi pod nogami, gdzie kiedyś na ulicach radośnie jaśniały choinki . . .

Lecz żywioł nie pozwala marzyć długo. Brutalnie, z furią rozpędza fale i każe żyć rzeczywistością. O! Upór marynarza polskiego jest straszny. Burzy się w nim—kotłuje jego dusza. I nadludzką wtedy ma siłę, przetrzyma wszystko i dojdzie do celu. Jest tedy w walce jak sztorm—siłą potężną. I dlatego na myśl o Polsce kurczowo zaciska dłonie.

Wtedy—był jeszcze dzieckiem. Marzył o bohaterstwie, dziś daje tego dowody. Sen o morzu się ziścił. O tej swej duszy i woli walki lepiej mówili koledzy w swych recytacjach na dzisiejszym wieczorze. Miłość Ojczyzny piękniej opisali w swych pieśniach. Nie brakło tam melodii ze wszystkich stron Polski. Braknąć nie mogło, bo przecież to była wigilia w Polsce—na polskim pokładzie . . .

Godzina Pasterki.

Pod pokładem w hali maszyn wsparty o ścianę stał inny marynarz. Wpatrzony we wskazówki manometrów też myślał o Polsce. . . . Jakżesz niedaleką mu się wydała. Wystarczy rozkaz dowódcy, a nerwowo drżące wskazówki rozpoczną sygnalizować zbliżanie się do Ojczyzny. Bo okręt stoi pod parą—gotów do drogi.

Gdzieś z górnych pokładów dochodzą słowa kolendy . . .

Wachtowy maszynista podchodzi do maszyny, pieczołowicie ją ogląda. To jego jedyna nadzieja . . .

Gdzieś w przestrzeni wypowiedziane słowa porwał rytmiczny stuk maszyny: "Już niedługo."

Enjot

Przegląd polityczny

W grudniu br. stosunki wewnętrzne we Włoszech weszły w tak ostrą fazę, że rząd musiał prostować różne "niezgodne z prawdą pogłoski."

"Prasa angielska — głosiły wówczas odezwy, rozlepiane na rogach ulic w Rzymie i Mediolanie—wmawia w świat, iż jesteśmy zależni od naszych niemieckich sprzymierzeńców, że bez ich pomocy nie będziemy w stanie wygrać wojny o wielkość Italii. Jest to śmieszne wprost niedocenianie ogromnej siły dynamizmu faszystowskiego. Włochy są mocarstwem, gotowym każdej chwili stawiać czoło W. Brytanii bez nieczyjej pomocy! Walczymy sami i tak, jak nasi dzielni sprzymierzeńcy wygrali wojnę na wschodzie i zachodzie Europy tak my, pod wodzą Mussoliniego, zwyciężymy na południu!"

Tymczasem już w początkach stycznia 1941 musiało włoskie ministerstwo lotnictwa podać do wiadomości, że "przy naszym boku walczą z inwazją angielską w Cyrenajce okryte sławą lotnicze dywizje niemieckie." I od tej chwili zaczyna się co raz to dalej idące przenikanie sił niemieckich do Włoch. W dniu 6 stycznia br. przemyca radio włoskie radosną, a zarazem bardzo kłopotliwą wiadomość, że "*wspólne siły niemieckie i włoskie, zamieniają Sycylię na niezdobytą twierdzę.*" W walkach na Morzu Śródziemnym—pierwszych, nieco pomyślniejszych dla Włoch starciach morskich—biorą już udział i to w wielkiej liczbie samoloty niemieckie. W ślad za żołnierzem niemieckim, wlewa się na półwysep apeniński wielki strumień administracyjny—urzędników i policjantów pruskich. Gestapo pracuje z "Ovrą," dublując tę ostatnią w poważniejszych wypadkach. Wszystko to ma na celu "zapewnienie szybkiego zwycięstwa." *W rzeczywistości jesteśmy świadkami początków okupacji niemieckiej we Włoszech.*

Wbrew faszystowskim zapewnieniom, nie ma ona i nie może mieć "cech przejściowych." Hitler przyglądał się długo, z nietajonym zadowoleniem powolnemu bankructwu faszyzmu i klęskom armii włoskiej. Nie interweniował ani w Grecji, ani w Libii, jakkolwiek pomoc niemiecka mogła w sierpniu 1940 roku mieć ogromne znaczenia dla ambitnych planów Grazianiego. W interesie Niemiec leżało wykazanie naocznie całej słabości gospodarczego, społecznego i wojskowego organizmu Włoch faszystowskich.

Gdy to nastąpiło-Włochy zaczynają odgrywać tę rolę, jaką dawno dla nich przewidziano w Berlinie: *niemieckiego pomostu na drodze do południowych mórz i oceanów świata.* Sam Triest nie wystarcza: z "żywotnymi interesami Trzeciej Rzeszy" trzeba zespolić także Genuę, Neapol, Bari, Messynę i Palermo. Faszyzm, tracący dzisiaj całą popularność a jutro zagrożony śmiertelnie przez niezadowolenie społeczeństwa włoskiego—należy podtrzymać a tym samym uzależnić go raz na zawsze od woli Führera.

Armia włoska już jest i wyczerpana i niezadowolona. Z tej strony nie grozi niebezpieczeństwo. I według planów niemieckich, powodzenie inwazji na Wyspy Brytyjskie, ma być równoznaczne z początkiem końca prawdziwej suwerenności państwa włoskiego. Przez Włochy—nie przez Francję—ma iść nowy, śródziemnomorski szlak Hitlera.

Tymczasem jednak podaje Mussoliniemu Führer, jak nowoczesny Mefisto, dawne zwierciadło rzymskie. Il Duce grzmi o "Nowej Kartaginie" i nowej Zamie.

"Na piaskach Afryki—mówił niedawno—błysnęły znów stare orły rzymskie. Duchy naszych wielkich przodków poprzedzają sztandary faszyzmu. O bramy Rzymu uderza znów swymi, do lotu rozwiniętymi skrzydłami—sława Scipionów, Cezarów i Augustów. Powtarzają się znów najwspanialsze karty naszej historii. W śladach niezwyciężonych legionów odnajdują swój szlak legiony faszystowskie."

Gdyby Mussolini znał choć trochę wspaniałą literaturę katolicką i pisma Ojców Kościoła—to przestraszył by się własnych słów. Ideą Bożą jest tylko idea twórcza. Natomiast powtarzać przeszłość, naśladować przeszłość, wywoływać duchy umarłych i w ich rysach odnajdywać własne rysy—doradza zawsze tylko Książę Ciemności. I Duch Pychy podsuwał dyktatorowi Włoch te gesty Cezara, które w Rzymie mogły wywoływać entuzjazm lub grozę—a w kinach londyńskich, nowojorskich czy paryskich wywoływały tylko śmiech. Albowiem magiczny obwód koła wpływów Zła—nie jest w stanie nigdy ogarnąć całej Ziemi.

Lecz Duce o tych wielkich prawdach mistycznych nie ma pojęcia—a może je tylko zatracił pod wpływem tych sił hitlerowskich, którym zaprzedał własną duszę i duszę Włoch. Nad ziemią włoską unosi się przeczucie klęski. Zaczęła się ona na ziemi albańskiej, którą napadnięto zdradziecko i zbroczono krwią w Wielki Piątek. Nie wiadomo, gdzie jej kres. W każdym razie nie odwrócą przeznaczenia Włoch nawet możliwe sukcesy Niemców w krajach śródziemnomorskich.

Hitler masuje co raz to większe ilości wojsk w Holandii, Belgii i na wybrzeżach francuskich. Mają one odegrać "decydującą rolę" w godzinie olbrzymiej inwazji na Wyspy Brytyjskie, którą projektuje się na wiosnę, ale która może nadejść i wcześniej. Führer zdaje sobie doskonale sprawę z faktu, że niepowodzenie tej ofensywy jest równoznaczne z katastrofą zarówno nazizmu, jak i Niemiec. Niedawno jeszcze wspominał, że wojna obecna rozstrzyga o bycie lub niebycie Rzeszy na całe stulecia. Führer jest człowiekiem jednej karty—i skoro rozpocznie swą grę, to podobnie jak w Belgii i Francji nie będzie się liczył z najpoważniejszymi nawet stratami. Jesteśmy najmocniej przekonani, że jak w sierpniu 1940 roku i teraz atak hitlerowski zostanie złamany, *ale nie mniej ani przez jedną chwilę nie wolno zapominać, że czeka nas walka, do której musimy przygotować się najstaranniej i pod każdym względem.*

Znaczenie tej walki co raz to lepiej zaczyna rozumieć Ameryka. Bardzo interesujące pod tym względem są oświadczenia republikańskiego członka rządu Prezydenta Roosevelta, Stimsona. Wyraził on zasadniczy sprzeciw w sprawie jakichkolwiek zmian w projekcie oddania statków amerykańskich do rozporządzenia W. Brytanii.

"Ameryka—mówił Stimson—zawdzięcza swe dominujące stanowisko na Oceanie Spokojnym jedynie i wyłącznie temu faktowi, *że Wielka Brytania strzeże Atlantyku.* Z tą chwilą, kiedy by ta zapora brytyjska runęła—jesteśmy narażeni na atak z dwóch stron, i to atak bardzo trudny do odparcia. W naszym dobrze zrozumiałym interesie leży danie jak największej pomocy, a więc i tych okrętów—Anglii. Pamiętajmy, że robimy tutaj żadnego bohaterskiego gestu: robimy tylko dobry interes."

Takie ujęcie trudnego zagadnienia interwencji amerykańskiej jest nie tylko słuszne, ale i trafiające do przekonania zdrowemu rozsądkowi amerykańskiemu. W razie zwycięstwa Anglii—Stany Zjednoczone będą miały decydujący głos przy rozstrzyganiu największych zagadnień świata. W razie klęski tracą automatycznie nie tylko swą potęgę mocarstwową, ale i gospodarczą. Odosobnionych państw, podobnie jak odosobnionych ludzi nie zna historia. Prawda ta na nasze szczęście, co raz to bardziej ustala się w Ameryce.

Stimsonowi wiernie sekunduje amerykański podsekretarz Stanu, Cordell Hull. Ostatnia jego mowa miała niezwykle silne akcenty i godziła bezpośrednio w całą "ideologię" totalistyczną, której Hull nie zawahał się nazwać "zbrodniczą."

"Była to groźniejsza i bardziej prowokująca mowa—pisze prasa niemiecka—aniżeli jakiekolwiek wynurzenia ministra państwa, prowadzącego wojnę." A dzienniki faszystowskie, za przewodem berlińskim, oświadczają, że Stany Zjednoczone nie tylko wchodzą, ale właściwie już są w wojnie z państwami osi.

Trudno temu zaprzeczać. Ale trudno również nie przywiązywać do tego faktu największych nadziei całej, tak strasznie dotkniętej ludzkości.

Zbliżeniu a właściwie sojuszowi między Anglią i Ameryką, przeciwstawiają Niemcy układ gospodarczy niemiecki-sowiecki. Rozpisuje się o nim obszernie prasa Trzeciej Rzeszy. O wiele bardziej skromnie i wstydliwie mówi o tym "wiekopomnym fakcie" prasa rosyjska. Nie ulega wątpliwości, że Sowiety muszą dzisiaj godzić się na każde żądanie Niemiec. Ale różnica między pomocą amerykańską a gospodarczą pomocą sowiecką, jest taka, jak między możliwościami i siłą przemysłu bolszewickiego i przemysłu amerykańskiego. Poza tym, mnożą się znaki, że Rosja będzie co raz to bardziej niechętnym klientem Niemiec. Pomoc Rosji uzależniona jest od ogólnej sytuacji zarówno politycznej, jak i militarnej. A ta ostatnia jest o wiele dla Niemiec gorsza aniżeli w lipcu 1940.

tk

Co myślą i piszą Polacy w Ameryce

O WOJSKO POLSKIE W KANADZIE

Prasa amerykańska, a przede wszystkim kanadyjska, pełna jest wiadomości o pertraktacjach, jakie prowadzi się w sprawie zorganizowania w Kanadzie oddziałów Wojsk Polskich. Prasa kanadyjska popiera te projekty bez zastrzeżeń—natomiast prasa w Stanach dzieli się wyraźnie na dwa odłamy.

Pierwszy, patriotyczniejszy gotów jest współdziałać i popierać tworzenie wojska bez zastrzeżeń drugi, liczniejszy—wyraża powątpiewanie czy inicjatywa jest szczęśliwa i przestrzega, iż nadzieja werbunku w Stanach może zawieść przede wszystkim z powodu ogłoszenia poboru do armii amerykańskiej. Twierdzi, iż zapewne, znajdzie się pewna liczba Polaków, którzy zdecydują się utracić obywatelstwo amerykańskie i pójdą śladem ochotników z wojny światowej — większość jednakże będzie wolała służyć w Armii Stanów. Ta rezerwa niektórych pism polskich na pewno nie odzwierciedla zapału młodzieży polskiej w Stanach, która nie poto idzie na ochotnika już obecnie do wojska amerykańskiego, aby "służyć w garnizonie," ale dlatego, iż wierzy, że armia Stanów znów w niedługim czasie weźmie udział w walce o sprawiedliwość i o Polskę.

STANY SIĘ ZBROJĄ

Że ta interwencja Stanów jest co raz bliższa świadczy wiele zjawisk. Przede wszystkim iście "amerykańskie" tempo zbrojeń. Oto pisma amerykańskie donoszą, że ukończono już pierwszą fazę przygotowań do obrony kraju, rozdając zamówienia przemysłowi wojennemu na osiem bilionów dolarów. Przytem przy rozpatrywaniu ofert nie zwracano uwagi na cenę, lecz przyznawano pierwszeństwo firmom, które dawały gwarancje pośpiechu.

JESZCZE O KOMISJI DIESA

Pisałem już niejednokrotnie o komisji kongresowej pod przewodnictwem senatora Diesa z Texasu. Obecnie ten niestrudzony badacz działalności "piątej kolumny" i sabotażu niemieckiego w Stanach ogłasza dalsze rewelacyjne wyniki swoich dociekań. Przestrzega przy tym Rząd i Kongres, że jeśli najsurowsze zarządzenia nie będą wydane to w najbliższym czasie mogą zajść w Stanach wypadki tak rozległego sabotażu, iż zagrożą przygotowaniom obronnym.

PO STANACH ZJEDNOCZONYCH IDZIE FALA PROPAGANDY NIEMIECKIEJ W KWESTII POLSKIEJ

Niemcy w dalszym ciągu nie szczędzą usiłowań, zmierzających do wykazania w Ameryce, iż oskarżenia, jakie przeciw nim formułuje się z powodu okrucieństw popełnianych w Polsce—nie są prawdziwe. Mimo swoich wielokrotnych oświadczeń oficjalnych, chełpiących się niemal tymi okrucieństwami—Niemcy nie wahają się obecnie puszczać co raz liczniejszych bałamutnych "optymistycznych" wiadomości z Polski. Wiadomości te są redagowane tak sprytnie, że niekiedy zawierają nawet sporo opowieści o dzielności Polaków, o długotrwałym ich uporze, kończą się przecież z reguły stwierdzeniem, że nareszcie, pod wpływem przynoszącego błogosławione skutki "porządku niemieckiego"—Polacy zaczynają oceniać swój interes i wyrażają zadowolenie z rządów niemieckich.

Na propagandę taką chwyta się niekiedy nawet poważna prasa amerykańska — z reguły powtarzają ją bezkrytyczne pisma popularne. Jest nader pożądana reakcja oficjalna i przestrzeżenie pism, które zalewane są materiałem niemieckim a mało mają materiału polskiego, przedstawiającego istotny stan rzeczy.

DZIWNA DEPESZA DO FRANKA

Jak dalece niektóre czynniki w Stanach nie zdają sobie jeszcze sprawy z tego kto to jest p. Frank i cała administracja niemiecka w okupowanej Polsce—świadczy fakt, iż amerykański przedstawiciel "Polish Relief Commission" Hardigan, uznał za stosowne wysłać w dniu 1 października życzenia do Franka z okazji powstania Gubernatorstwa. Jak donosi prasa niemiecka wyraził mu przytem swoje uznanie "dla wszystkiego, co Frank zrobił dla Polski." Ta zakrawająca na kpiny "grzeczność" amerykańskiego przyjaciela Polaków, znanego zresztą skądinąd zaszczytnie—wywołała falę oburzenia wśród Polonii. Jest ona w tej chwili przedmiotem badania przez prezydium Relief.

Jerzy Pomian

SPIS RZECZY:

Sztychem

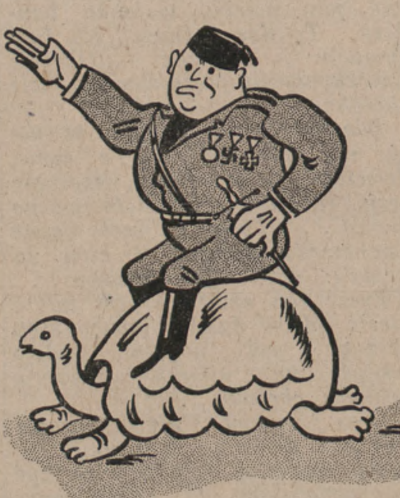
BARDIA I TRIEST

—"Bardzo z Bardią nieprzyjemnie,
nieprzyjemność ta—przeze mnie"—
musi myśleć tak Benito,
odkąd w Libii go pobito.

—"Brzydki Bryt nas wsiął za bary
i do Bardii szuka pary.
Będzie kuku i w Tobruku;
faszyzm znajdzie się na bruku.

Broń że teraz nas, Hitlerze!
W co, jak w co—w twą pomoc wierzę. . ."
Niech im Hitler wlezie w Adrię,
to z Triestu zrobi Bardię!

Antyk



rys. Tony

"Blitzkrieg" Mussoliniego w Libii i gdzieindziej

W LIBII

Książę Denassów mówił ongi coś o spisie,
i o królu murzyńskim, i o tym tygrysie,
i o swoim rycerskim w Libii animuszu—
tak opowiadał Wojski w "Panu Tadeuszu."

Dzisiaj generał Wavell pochwalił Polaków
za męstwo, wykazane wśród libijskich szlaków:
nie spisy, nie tygrysy, nie król czarnoskóry,
ale w "czarnych koszulach" aż do skóry dziury.

Antyk

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: Pierwsza strona—I cal przez jeden łam—sh.13 4d. Pozostałe strony—1 cal przez jeden łam—sh.6 4d. Drobne ogłoszenia—1 cal przez jeden łam—sh.5, pół cala przez 1 łam—sh.2 6d.

Adres Administracji (Business Offices): 5, Portugal Street, W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.